Dziś w numerze: Trzynaste miasto ● W rocznicę Konstytucji 3 Maja ● Pojedynek ● Wawrzyny i cyprysy... ● Skok na szybę ● Recenzje ● Felietony

odgłosy

Nr 17 (379)
1. V. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

MARIAN PIECHAL

PIERWSZY MAJA

Wychodzą biali, żółci i czarni,
czérwona w żyłach ich płynie krew,
czerwony sztandar nad nimi płynie,
czerwień ich oczy nadzieją karmi,
a oni biali, żółci i czarni
wychodzą z domów i wznoszą śpiew!
Jedno ich hasło i jedno imię:
taki ich sztandar, jaka ich krew!

JERZY DARNAL

TRZYDZIEŚCI LAT TEMU

Poprzez szpalty starych czasopism, propagandowe ulotki, afisze, dokumenty, oglądam pochód pierwszomajowy w Łodzi roku 1936. Pochód, jakiego, jak to podkreśla opozycyjna prasa, miasto nie oglądało już od wielu lat. Nie dlatego, że był doskonale zorganizowany, a ruchomemu lasowi czerwonych sztandarów towarzyszyło 179 transparentów i 10 orkiestr. O znaczeniu tamtej demonstracji decydują bowiem nie widowiskowe atrakcje, ale historyczny moment, czasowy kontekst pochodu.

Nieco wcześniej, bo na przełomie lipca i sierpnia roku 1935 obradował w Moskwie VII Kongres Międzynarodówki Komunistycznej. Węzłowy punkt jego uchwał głosił: „Urzeczywistnienie jednolitego frontu walki klasy robotniczej stanowi na obecnym etapie historycznym główne, najbliższe zadanie międzynarodowego ruchu robotniczego". Światu, już coraz wyraźniej, zagrażał wtedy faszyzm, którego oblicze zdemaskowane zostało w Hiszpanii, w jego walce z republikańskim legalnym rządem jednolitego frontu ludowego. Pochód majowy roku 1936 był manifestacją jedności sił postępu w Łodzi, zjednoczonych we wspólnym froncie przeciwko rodzimym faszystom.

Nieprzypadkowo tłum sześćdziesięciu tysięcy ludzi niósł wymalowane na transparentach hasła: „Żądamy zerwania sojuszu z Hitlerem". „Precz z endecją". „Niech żyje braterstwo ludów". „Znieść Bereze Kartuska". „Precz z napaściami na ZSRR" czy „Faszyzm podpala świat". Stawał się wtedy coraz bardziej widoczny sojusz sanacji z endecją, narodowej demokracji z narodowym socjalizmem. Łódzcy endecy organizowali wiele wspólnych akcji z łódzkimi hitlerowcami. W przededniu wyborów do rady miejskiej w Łodzi szło o wielką stawkę, szło o to, aby, jak to określał list otwarty Komitetu Łódzkiego KPP: „Wydrzeć sanacyjno-endeckiej spółce panowanie w mieście; zdobyć samorząd i użyć go dla polepszenia położenia ludności pracującej".

Pochód pierwszomajowy w Łodzi roku 1936 wyruszył z Wodnego Rynku o godz. 11. Jego organizatorzy z ramienia stronnictw socjalistycznych porozumieli się z władzami wojewódzkimi, granatowi policjanci usunęli się z trasy manifestacji, wyręczyli ich w napaściach na demonstrantów bojówkarze endeccy uzbrojeni w laski, pałki, kastety, noże i rewolwery.

O godz. 12 czoło pochodu dotarło do skrzyżowania ulic Piotrkowskiej i Andrzeja (dziś A. Struga), we wzorowym porządku zwarte tłumy kroczyły w kierunku pl. Wolności. I wtedy, z domu przy ul. Piotrkowskiej 91, gdzie mieściła się redakcja endeckiego „Orędownika", na maszerujących posypały się obraźliwe ulotki, potem zaś kamienie. Bojówkarze wybrali do ataku moment, gdy obok redakcji „Orędownika" przechodziły w pochodzie dziesięcioletnie dzieci, synowie i córki tych, co na czele demonstracji dźwigali transparenty, sztandary i portrety. Kolumna maszerujących została w ten sposób rozerwana, ale pochód nie został zatrzymany. Demonstranci podnosili z jezdni kamienie rzucane przez endeków i ich własnymi pociskami odpowiedzieli na atak. Napastnicy uzbrojeni w laski i pałki zaczęli wycofywać się tam skąd wybiegli: do bramy domu przy Piotrkowskiej 91. Spoza zatrzaśniętych odrzwi dalej sypał się grad kamieni, dezorganizując pochód. Wtedy do akcji wkroczyła bezpieczna milicja, straż porządkowa pochodu. Wywiązała się bezpośrednia walka, częściowo wyłamano bramę. Endecy zaczęli strzelać. Ogłoszony następnego dnia w „Głosie Porannym" komunikat donosił:

„Czesław Ślusarczyk l. 31, zamieszkały przy ul. Batorego 13, członek milicji PPS został czterokrotnie raniony kulami w nogę i udo oraz doznał ran tłuczonych głowy.

32-letni I. Grynblat, zam. Mielczarskiego 23, ma złamaną rękę i doznał ogólnych obrażeń. Został również ranny milicjant PPS, Jagiełło".

Bojówkarze endeccy zranili również bardzo ciężko 17-letniego S. Szwarcberga, który otrzymał cios nożem w klatkę piersiową.

Ale endecy ponieśli straty dotkliwsze — skompromitowali się przed robotniczym społeczeństwem Łodzi jako siła polityczna. Endecy, którzy w r. 1934 wygrali lokalne wybory w r. 1936 stanęli już na wyraźnie straconych pozycjach. Rzucone przez III Międzynarodówkę Komunistyczną hasło jednolitego frontu sił postępowych na całym świecie, w łódzkich warunkach znalazło swoje pełne odbicie i realizację. W wyborach do rady miejskiej, 27 września 1936 r. stronnictwa socjalistyczne i klasowe związki zawodowe odniosły zdecydowane zwycięstwo. KPP, zdelegalizowana od roku 1919, nie mogła zgłosić do wyborów jawnie swojej listy. Ale na 34 radnych socjalistycznych w łódzkiej radzie miejskiej znalazło się 13 komunistów, na czele z Mieczysławem Zdziechowskim, któremu sanacyjne władze wytoczyły później proces, oskarżając go o przynależność do KPP.

Takie jest historyczne i polityczne znaczenie pochodu pierwszomajowego w Łodzi w r. 1936, który domaga się przypomnienia teraz, w okrągłą trzydziestą rocznicę. Nie jest to zdarzenie zbyt odległe w czasie, choć dostatecznie odległe w historii, żyjemy bowiem w ustroju, o który prowadzili zaciętą i bezpardonową walkę uczestnicy tamtego majowego pochodu. I jeśli dziś pochód majowy jest świętem radości, świętem wzlatujących gołębi i pierwszych wiosennych kwiatów, to nie zapomnę zdania napisanego przez sprawozdawcę opozycyjnego dziennika 30 lat temu: „Wielu uczestników pochodu nosiło żałobne opaski na rękach".

Czczono w ten sposób pamięć tych, co polegli w walce o sprawę robotniczą. Oskarżano tych, co strzelali i wydawali rozkazy strzelania.

ŚWIATA

Paryż, Rzym, Sajgon, Djakarta, Londyn... Na tej linii utrzymywało się zainteresowanie opinii publicznej w ostatnim tygodniu.

PARYŻ obserwowany był pilnie z uwagi na debatę w Zgromadzeniu Narodowym nad polityką zagraniczną de Gaulle'a, a właściwie jego decyzjami o wycofaniu się ze zintegrowanej struktury militarnej NATO. Fakt, że wniosek o votum nieufności poparło tylko 137 z 482 deputowanych ostatecznie chyba rozwiał amerykański mit „o głębokich różnicach zdań w Paryżu".

RZYM zwrócił uwagę wizytą min. Gromyki. Kontakty między Związkiem Radzieckim a Włochami były dotychczas sporadyczne i nie miały większego znaczenia politycznego. Teraz jednak jest inaczej. Trzeba bowiem na nie spojrzeć pod kątem nowej roli, jaką mogą spełniać Włochy po wycofaniu się Francji z NATO.

W rozmowach min. Gromyki — wydaje się — dominowały dwustronne stosunki gospodarcze i handlowe. Ale — co podkreśla „Unita" — Gromyko jest przecież ministrem spraw zagranicznych, a nie handlu zagranicznego. Nie zaniedbano więc spraw politycznych. Choć piszę przed ukazaniem się komunikatu o rozmowach, z pewnością nie popełnię błędu, jeśli stwierdzę, że toczyły się one głównie wokół niebezpieczeństwa nuklearnego. Do stwierdzenia tego upoważnia stanowisko min. Fanfaniego, który wypowiadał się za podjęciem zobowiązań przez kraje nie posiadające broni nuklearnej, iż ani nie będą jej produkowały, ani nie nabędą od krajów innych.

SAJGON interesował szczególnie dalszymi losami gen. Ky. Pozornie, jak już pisałem w ub. tygodniu, wszystko niby ucichło, ale lawa kipi dalej. Trochę na uspokojenie wpłynęła również tzw. „nowa ofensywa pokojowa" Waszyngtonu, czyli inaczej sugestie senatora Mansfielda na temat konferencji, poświęconej Wietnamowi. Konferencja ta, jeśli dobrze odczytaliśmy słowa Mansfielda, miałaby odbyć się gdzieś w Azji z udziałem ChRL, USA, Wietnamu północnego i takich „elementów" z Wietnamu południowego, które są istotne dla zapewnienia i utrzymania pokoju".

W szczerość intencji Waszyngtonu nie wierzą nawet publicyści amerykańscy, nauczeni doświadczeniem sprzed czterech, pięciu miesięcy, ale to nie przeszkadza, by okrzyknięto ją jako nowy akt „dobrej woli". Tymczasem najprawdopodobniej chodzi po prostu o zniwelowanie reperkusji wzmożenia działań przeciwko Wietnamowi północnemu oraz zatarcie nie najlepszych dla Stanów Zjednoczonych nastrojów po zachwianiu się reżimu Ky.

A więc jeszcze jedna próba przekonania amerykańskich wyborców, że administracja poszukuje "pokojowych rozwiązań"?

Tygodnik „Newsweek" ocenił, że wojna wietnamska pochłania obecnie życie stu amerykańskich żołnierzy tygodniowo i kosztuje amerykańskiego podatnika 33 mln dolarów dziennie. Jeśli nawet liczby te nie są zaniżone, jest rzeczywiście powód, by „uspokajać" społeczeństwo rzekomym poszukiwaniem dróg przywrócenia pokoju w Wietnamie...

DJAKARTA zainteresowała opinię bardzo znamiennym wystąpieniem Sukarno na posiedzeniu gabinetu indonezyjskiego.

Prezydent Indonezji tymi słowami „wygarniał" członkom obecnego rządu:

„Jestem waszym prezydentem. Jestem waszym przywódcą... Nie traktujcie mnie jako marionetkę... Istnieją ludzie, którzy chcieliby uczynić ze mnie konstytucyjnego monarchę. Otóż nie chcę być żadnym królem. 50 lat mego życia poświęciłem po to, by nie być maharadżą. Modliłem się każdego dnia o to, by Bóg uczynił mnie przywódcą...".

Gorzkie, mocne słowa, potwierdzające powszechny sąd, że Sukarno nie ma decydującego wpływu na bieg wydarzeń w swym kraju.

Od 30 września ubiegłego roku tragiczna zagadka indonezyjska nie została jeszcze w pełni rozwiązana. Tym bardziej trudno podejmować ocenę obecnego układu sił politycznych. Przemówienie Sukarno nie pozostawia jednak wątpliwości, że nie on steruje życiem politycznym Indonezji, że — co więcej — często w nim nawet nie uczestniczy. Jest jeńcem armii, która sukarnowskie „nasakom" dawno już rozstrzelała z 200—300 tysiącami ludzi — patriotów indonezyjskich.

I wreszcie LONDYN. Oficjalne otwarcie nowego parlamentu, w którym Labour Party rozporządza 97 głosami przewagi. Mowa tronowa Elżbiety II i program nowego rządu Wilsona.

Co zwraca uwagę? Przede wszystkim potwierdzenie wierności NATO. Elżbieta uznała tę organizację „Za niezbędną podstawę, w oparciu o którą należy dążyć do większej stabilności w stosunkach Wschód—Zachód".

Nie przewiduje się w polityce zagranicznej Wilsona żadnych poważniejszych zmian. Nie zakłada tego program rządu. Jeśli więc coś podkreślić — to chyba wzmocnienie akcentów na pokojowe rozwiązanie problemu wietnamskiego. Agencje zachodnie zapowiadają w związku z tym podjęcie przez W. Brytanię nowych inicjatyw: w Moskwie, Hanoi i ONZ. Ile w tym jest jednak domysłów, a ile uzasadnionych przypuszczeń — trudno powiedzieć.

* ★ *

I tak przewędrowaliśmy dzisiaj przez pięć stolic, których nazwy w ostatnich dniach najczęściej powtarzały się w doniesieniach agencyjnych. Nie zamyka to jednak listy obiektów zainteresowania opinii publicznej. Być może w przyszłym tygodniu będzie okazja, by powrócić do pozostałych...

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

■ Amerykański senator Fulbright: Są momenty w życiu publicznym i w życiu jednostki, kiedy trzeba protestować. Trzeba protestować nie tylko dlatego, że może to przynieść konkretne rezultaty, ale również ze względu na poczucie własnej godności. Trzeba protestować, gdy ma się już dosyć politykierstwa i wyświechtanych stereotypów.

Walka o wolność południowego Wietnamu
(Die Welt)

■ Do jednego z członków parlamentu brytyjskiego uśmiechnęło się szczęście. Podczas ciągnienia losów loterii, zorganizowanej w celach charytatywnych, na wyciągnięty przez członka Izby Gmin bilet padła wygrana. Jakież mu siało być jednak rozczarowanie posła, kiedy dowiedział się, że nagrodą jest prawo zezwalające na... przysłuchiwanie się obradom Izby Gmin na galerii, w miejscu przeznaczonym dla publiczności.

■ W 1965 roku zanotowano w Czechosłowacji 18 700 rozwodów, czyli o 900 więcej niż w roku poprzednim. Na 100 nowo zawartych związków małżeńskich przypada 16 procesów rozwodowych.

■ Według danych opublikowanych w Waszyngtonie liczba zabitych żołnierzy amerykańskich w Wietnamie od 1 stycznia 1961 roku wynosi 3.047. Ostatnio liczba zabitych osiągnęła przeciętnie 100 tygodniowo. W ciągu trzech i pół miesiąca br. zginęło więcej żołnierzy amerykańskich niż w ciągu całego roku ubiegłego.

■ Przedstawiciel stanu Michigan w amerykańskim Kongresie ogarnięty pragnieniem odniesienia zwycięstwa nad zjawiskiem biurokracji przedłożył Kongresowi do rozpatrzenia projekt ustawy, według którego „liczba zatrudnionych w Ministerstwie Rolnictwa w USA nie powinna przewyższać liczby farmerów w kraju".

■ W Pekinie odbywał się wiosenny festiwal teatralny będący przeglądem dorobku współczesnej dramaturgii chińskiej oraz największych zespołów teatralnych. Wszystkie wystawiane sztuki, niezależnie od formy scenicznej, a więc zarówno opera, komedia, dramat i jednoaktówki nosiły charakter sztuk politycznych, których akcja rozgrywa się współcześnie lub w bliskiej przeszłości. Autorami większości wystawianych jednoaktówek są pisarze-amatorzy, najczęściej robotnicy, członkowie komun ludowych, bądź żołnierze.

■ W kościołach zachodniej Europy coraz częściej gości muzyka jazzowa. Niedawno w paryskiej katedrze Notre Dame odprawiona była msza przy akompaniamencie elektrycznych organów. Wierni przyjęli nowość z mieszanymi uczuciami.

Dzieląc się wrażeniami, pewna staruszka powiedziała, że w czasie modlitwy „Boże bądź miłościw dla nas" czuła się jak gdyby znajdowała się w środku dzikiej dżungli.

■ W czasie debaty w Radzie Miejskiej Sajgonu jedna z radnych wystąpiła z żądaniem, aby liczące ćwierć miliona zagraniczne armie interwencyjne w południowym Wietnamie sprowadzały prostytutki ze swych własnych krajów, uznając to, za jedyny sposób zahamowania ciągłego napływu młodych dziewcząt wietnamskich do domów publicznych w Sajgonie. Rada projekt ten odrzuciła jako nierealny.

■ Prasa czechosłowacka informuje o wzroście przestępczości w niektórych dzielnicach kraju. W roku 1965 sądy powiatowe skazały o ponad 12 proc. więcej młodocianych aniżeli w 1964 r. Liczba przestępstw kryminalnych popełnionych przez młodzież w wieku do lat 15 zwiększyła się o 21 proc.

■ Francuska Agencja AFP w komentarzu na temat rozwoju produkcji samochodów osobowych w Związku Radzieckim, nawiązując do porozumienia zawartego między radzieckim ministerstwem przemysłu samochodowego a kierownictwem Fiata, przewidującego zbudowanie na Ukrainie fabryki samochodów osobowych o docelowej zdolności produkcyjnej (w 1975 roku) 600 000 sztuk wozów — pisze, iż w przyszłym miesiącu udaje się do Moskwy delegacja francuskich zakładów Renault, dla przeprowadzenia rozmów celem zawarcia analogicznego porozumienia odnośnie budowy w Związku Radzieckim samochodów „francuskiego typu".

■ Imigracja specjalistów, zwłaszcza z dziedziny nauk ścisłych i technicznych z różnych krajów świata do USA wzrosła z 1230 osób w 1949 roku do 5.933 osób w roku 1963. W latach 1957—63 Stany Zjednoczone przyjęły 25.737 inżynierów i 8.422 specjalistów z dziedziny nauk ścisłych. W 1961 roku na 631 członków Krajowej Akademii Nauk, 109 uzyskało wykształcenie za granicą. Na 34 amerykańskich laureatów nagrody Nobla z dziedziny fizyki i chemii w okresie od 1907—1961, dziewięć nagród otrzymali uczeni pochodzenia zagranicznego. Poza tym 6 zagranicznych laureatów nagrody Nobla z dziedziny fizyki i chemii wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych.

■ Opublikowane na łamach miesięcznika „Nowyj Mir" opowiadanie o tematyce wojennej Wasilia Bykowa pt. „Martwi nie czują bólu" spotkało się z bardzo krytyczną oceną centralnej prasy radzieckiej. Po jednej stronie są „szarzy" ludzie, którymi inni dowodzą — relacjonuje treść sztuki recenzent „Krasnej Zwiezdy". Ci szarzy ludzie, to odważni i mężni żołnierze, gotowi do wszelkich ofiar. Druga grupę stanowi „naczalstwo" (...). Ta grupa obejmuje zupełnie innych ludzi, zupełnie inne postacie. Ordynarność, nikczemność, karierowiczostwo, obojętność na losy podkomendnych — oto charakterystyczne cechy przedstawicieli „drugiej grupy". Opowiadanie „Martwi nie czują bólu" — pisze „Prawda" jest niepowodzeniem twórczym autora. (...) Niepowodzenie to jest następstwem poważnych ideowo-artystycznych błędów pisarza.

■ Agencja AP podaje, iż amerykański Departament Obrony nadał absolutny priorytet badaniom zmierzającym do wynalezienia systemu wykrywania zasadzek w Wietnamie południowym. W wyspecjalizowanych laboratoriach prowadzone są między innymi próby ze specjalnym gatunkiem insektów, które wyczuwają obecność ludzi na odległość, z urządzeniami akustycznymi wychwytującymi na odległość głosy ludzkie, z aparaturą radarową rejestrującą bliskość sprzętu bojowego. Prowadzone są również badania nad wykryciem sposobu, który by pozwolił odróżnić partyzantów... od pozostałych południowowietnamczyków.

— I pomyśleć, że mieliśmy owinąć ich wokół palca.
(Newsweek)

■ Sekretarz Marynarki Stanów Zjednoczonych, Paul Nitze wyraził przekonanie, że Związek Radziecki posiada największą flotę podwodną w historii świata.

■ Premier Francji, Pompidou: „Gdyby miało dojść do trzeciej wojny w Europie, byłaby to wojna nuklearna i Europa zostałaby zniszczona. Istnieje ogromna różnica, gdy rozpatruje się tę możliwość, czy jest się po tej, czy po tamtej stronie Atlantyku"...

■ Szereg publikacji zagranicznych snuje przypuszczenia, iż ludność ChRL liczyła z początkiem br. około 725 milionów i stanowiła 23 proc. całej ludzkości. W fachowych publikacjach poświęconych prognozom ludności w roku 2000 wyrażony jest pogląd, że ludność Chin wynosić będzie w końcu XX wieku przypuszczalnie około 1.750 milionów stanowiąc około 27—30 proc. mieszkańców całego globu.

O SKROMNOŚCI

Przeczytałem niedawno artykuł pod dumnym tytułem: „Mój warsztat twórczy i moi czytelnicy". Rzecz prosta, prawo do takiego tytułu mógłby mieć pisarz, który odbył długą drogę twórcy i legitymuje się bogatym dorobkiem, ale wielcy pisarze są skromni, nie pisują tego rodzaju artykułów.

Ów artykuł znalazłem w „Gazecie Ziemi Piotrkowskiej". Otwiera dodatek literacki, zatytułowany „Pomosty". Oczywiście, dodatek taki bardzo jest potrzebny, mamy i w Łodzi i na terenie województwa łódzkiego sporą garść utalentowanych, młodych i żądnych druku poetów, prozaików, reportażystów. Czy jednak jest potrzebny tego rodzaju artykuł wstępny? Oto jest pytanie!

Trudno zaprzeczyć, że Józef Henryk Wiśniewski, autor artykułu — odbył już długą drogę z piórem w ręku. Przypominam sobie, że na dobrą sprawę zaczynaliśmy razem, kilkanaście lat temu, no, ale dla wyliczenia jego dorobku starczy palców jednej ręki, a i tak większość nie zostanie nawet zatrudniona. Mam na myśli pozycje książkowe. Jest to więc sytuacja, w której skromność mogłaby się okazać cnotą ze wszystkich najbardziej potrzebną.

Sam artykuł także skromny nie jest. Cóż bowiem pisze Autor o swoim czytelniku? „Oszołomieni zmianami, zatracają wrażliwość, przede wszystkim moralną. Nie potrafią żyć życiem autentycznym, przyjmują obojętną postawę wobec wszystkiego co się wokół nich dzieje, zapatrzeni w maszyny i wygody, które im niesie nasz wiek, nie dostrzegają najbardziej istotnych potrzeb ludzkich". Tacy są czytelnicy naszego Autora. Inni poeci mają więcej szczęścia, ale on trafił akurat na takich i właśnie im pragnie pokazać „nowe terytoria dla ekspansji ich wyobraźni".

Nasz Autor przyznaje jednak, że ma z tym pewne kłopoty, czytelnicy nie rozumieją go. A właściwie dlaczego? Dwie są główne przyczyny, ale żadna nie wiąże się z Autorem, raczej z niedoskonałością świata, w którym wypadło mu żyć. „Szkoła nie przygotowuje do odbioru współczesnej poezji — pisze nieco rozżalony Autor — nie daje wiedzy o nowych formach poetyckich". Oto przyczyna pierwsza. Nasza szkoła winna jest, jak wiadomo, chuligaństwa, kradzieży, alkoholizmowi pośród młodych, a na domiar złego utrudnia naszemu Autorowi drogę do czytelnika.

Czytelnik też sam sobie ją utrudnia. Autor pisze skromnie o sobie: „...korzystam z wielu nowatorskich odkryć nie tylko własnych, ale i wielkich eksperymentów sztuki nowoczesnej, by osiągnąć najdoskonalszy w moim przekonaniu kształt wiersza". Po takim stwierdzeniu jesteśmy spokojni o przekonania Autora, na pewno daje rzeczy najdoskonalsze. Gorzej z czytelnikiem, który twierdzi, że jest to poezja trudna, nie dla niego, no bo on nie umie żyć życiem autentycznym, patrzy w maszyny i szuka wygód.

Nasz Autor tłumaczy skromnie i cierpliwie: „tym, którzy twierdzą, że współczesna poezja jest „niezrozumiała" — odpowiem: zawsze tak się działo, iż czytelnicy skarżyli się na trudności w odbiorze wierszy współczesnych im poetów. Mógłbym powołać się na przykłady z odczytywaniem wierszy współczesnych im poetów choćby Mickiewicza, czy zwłaszcza Norwida, który był niezrozumiały dla współczesnych, a odczytywano go właściwie wiele dziesiątków lat po śmierci".

Nasz Autor skazał się więc dobrowolnie na los Mickiewicza i Norwida. Nie chcecie mnie dziś, no to wasi wnukowie będą moim imieniem nazywali szkoły, place i ulice.

Nie wiem. Może i będą. W każdym razie jedno jest pewne: Mickiewicz i Norwid mogli czekać, dla nich nie istnieje czas, są bowiem istotnie nieśmiertelni. Czy jest nieśmiertelny Autor artykułu — „Mój warsztat twórczy i moi czytelnicy", pomieszczonego na łamach „Gazety Ziemi Piotrkowskiej" w dodatku — „Pomosty"? Trudno nie mieć poważnych wątpliwości.

Wiesław Jarosiński

Fot: Kyoichi Sawada *„Wybawienie"*

Pokój i wolność dla bohaterskiego narodu wietnamskiego!

(Z haseł KC PZPR na 1 Maja 1966 roku)

JANUSZ ROSZKO

TRZYNASTE MIASTO

Na jednym krańcu wznosi się potężna wieża klasztoru Paulinów, na drugim kominy ogromnej huty. Nie mam zamiaru przeciwstawiać sobie tych dwóch wielkości, trudno bowiem byłoby znaleźć skalę porównań — natomiast branie pod uwagę rocznych zysków mogłoby być uznane przez niektórych za próbę świętokradztwa, przez innych za nietakt.

To miasto jest bramą dla pielgrzymów, oazą dla chcących się wybić inteligentów, biznesem dla spryciarzy, którzy handlują wodą święconą. Jest twierdzą wielkiego przemysłu, ośrodkiem nauki — oraz miastem cudownego obrazu Madonny, której smagła twarz z dwoma szramami na policzku czczona jest w Polsce od wieków. Można tu zaobserwować doświadczenia, prowadzone na politechnice nad laserem rubinowym oraz anachroniczne już w Europie formy kultu religijnego. Liczy 183 tysiące mieszkańców, co stawia je na trzynastym miejscu w Polsce. Ma najbogatszy klasztor na ziemiach polskich i drugą co do wielkości hutę. Wartość produkcji przemysłowej tego miasta wynosi 10 miliardów złotych w skali rocznej.

Trzynaste miasto Polski nazywa się Częstochowa.

Wieża klasztoru, górująca nad miastem jest najwyższa wieża kościelną w Polsce: 105 metrów, czas wejścia około 20 minut. Od chwili przyjazdu do Częstochowy hamletyzuję: wejść, czy nie wejść na szczyt? Zrobię to dopiero pod koniec swego pobytu. Na razie centralną arterią miasta, aleją Pokoju, idę w kierunku klasztoru. Gwar wielkiego miasta, tramwaje, autobusy, mrugające światła na skrzyżowaniach, nowoczesne wieżowce. Aleja kończy się przy brukowanym kamieniami placyku, stąd schody pośród parku prowadzą wprost do klasztoru, gdzie w kaplicy znajduje się sławny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Podłużny owal twarzy Madonny ma kolor palonej pszenicy.

Obraz znajduje się w Częstochowie od roku 1384, podarowany OO Paulinom przez fundatora klasztoru, księcia Władysława Opolczyka. Z fundacją były pewne kłopoty, bowiem książę bezprawnie darował klasztorowi majątki królewskie, podczas gdy był namiestnikiem króla Ludwika Węgierskiego. Król Władysław Jagiełło, który na chrzcie świętym otrzymał imię od swego ojca chrzestnego — właśnie księcia Władysława Opolczyka — w późniejszych latach swego panowania musiał księcia wypędzić z kraju za intrygi, a sprawę jego fundacji dla OO Paulinów załatwić powtórnie. Uposażył klasztor znacznie hojniej niż fundator — bo nie dziesięcinami, ale dobrami i po dziś dzień OO Paulini odprawiają za niego nabożeństwa, zapomniawszy o księciu Opolczyku, który bądź co bądź przekazał im rzecz najcenniejszą: cudowny obraz, zdobyty podczas jakiejś wyprawy w Bełzie na Rusi.

W 1430 roku klasztor został złupiony przez oddział husyckiej szlachty polskiej i z tego czasu pozostały dwie szramy na policzku Madonny. Obraz został przez Władysława Jagiełłę oddany najpierw artystom ruskim do renowacji, którzy nie potrafili sobie z nim poradzić, następnie kazał przywołać malarzy cesarskich z zachodu. Prawdopodobnie stosowana w XV wieku technika temperowa zadecydowała o tym, że obraz namalowano wówczas podług starego na nowo, bowiem tempera nie chciała się łączyć z dawną faktura obrazu, malowanego prawdopodobnie farbami na podkładzie woskowym. Niemniej jednak legenda obrazu cudownego powiada, że jest to niezwykle stare malowidło, sięgające czasów Chrystusa; płótno podobno rozpięto na deskach z drzewa sandałowego, które poprzednio były stołem świętej rodziny. Badania ostatnie wykazały, że jest to drzewo lipowe.

* * *

Czekałem najpierw długo w Sali Rycerskiej, i mogłem pod jej półkolistym sklepieniem przyglądać się zabiegom intensywnego remontu, a przez luki w parawanach oglądać nie najlepszego pędzla obrazy, ilustrujące dzieje klasztoru.

Następnie wprowadzono mnie do urządzonych nader skromnie rozmównic, aby po wizycie w skarbcu poprowadzić korytarzami do refektarza. Zakamarki klasztoru w obrębie tzw. klauzury ozdobione są bogato starymi portretami mnichów i królów, sklepienia sal wspaniale zdobione malowidłami. Wzdłuż korytarzy numerowane cele o pojedynczych drzwiach, nad którymi znajduje się osłonięty druciana siatka lufcik. Nie daje to zakonnikom żadnej izolacji akustycznej.

Pytałem swego przewodnika, czy zakonnikom wolno posiadać radia i biblioteki w celach. Odpowiedziano mi, że reguła zakonu Paulinów nie dopuszcza własności prywatnej, wszystko jest tu własnością wspólną; a rzeczy osobiste są tylko powierzone zakonnikom „w użytkowanie". Nawet białe habity. „Czy okulary także?" — zapytałem. „Także". „Czy zegarek?" — indagowałem dalej, widząc niezły, szwajcarski, na ręce oprowadzającego mnie Ojca. „Także" — odpowiedział z powagą. Z radia i telewizji wolno im korzystać w pomieszczeniach wspólnych, z książek w bibliotece — zresztą wspaniałej, liczącej 11 tysięcy tomów.

Zaimponował mi i każdemu musi zaimponować skarbiec klasztorny, nie mający sobie równego w Polsce i chyba w całej Europie wschodniej. W ogromnej sali, zastawionej wokół potężnymi gablotami znajdują się przedmioty bezcenne zarówno z uwagi na ich powiązanie z osobami królów Polski i bohaterów narodowych, jak i na obiektywną wartość dzieł sztuki. Mnogość brylantów, pereł, złota onieśmiela. Przepiękne ornaty i kapy o wypukłym hafcie, zdobne drogimi kamieniami, przetykane złotymi niciami pochodzą nawet z XIV wieku. Są szable królów i różańce, są przedmioty zdobyte w namiocie wezyra Kara Mustafy przez króla Jana Sobieskiego pod Wiedniem, są pierwsze figurki z porcelany saskiej, buławy hetmanów, ołtarzyki z kości słoniowej własnoręcznie wykonane przez bohatera narodowego Kościuszkę... Najcenniejszym eksponatem jest złota monstrancja z 1672 roku, wykonana przez złotnika Grotko z Warszawy, ozdobiona 5 tysiącami szlachetnych kamieni. Dalej — krzyż darowany przez króla Zygmunta Augusta i monstrancja roboty norymberskiej darowana przez jego ojca, Zygmunta I. Do najcenniejszych przedmiotów należy haftowana perłami kapa, dar pani Orzelskiej, córki króla Augusta II Sasa, z której część klejnotów zrabowali w 1806 roku żołnierze Napoleona. Kroniki klasztoru tak odnotowały ów wypadek: „A teraz wyliczmy rzeczy, grzecznie zabrane przez Francuzów". Grzecznie zabrane — to znaczy bez gwałtu i przemocy, elegancko.

Przedmioty małe, położone w poziomych gablotach gubią się zupełnie, choć pośród nich można by odnaleźć nie byle jakiej wartości pierścień czy sygnet z dawnych wieków, zegarek wysadzany drogimi kamieniami, naszyjnik...

Dalszy ciąg na str. 4

TRZYNASTE MIASTO

Dalszy ciąg ze str. 3

Owe skarby musiały być nie byle jaką pokusą dla króla szwedzkiego Karola Gustawa, który kłopotał się czym wypłacić żołd swoim chorągwiom najemnym... I stąd powstała owa sławna legenda obrony Jasnej Góry w 1655 roku, legenda cudownego ocalenia.

* ☆ *

„Tylko cud mógł zbawić Rzeczpospolitą" — pisze w swojej „Historii Polski" wydanej na emigracji Oskar Halecki. „Na dnie nieszczęścia cud ten się wydarzył. Jak arka Noego pośród potopu nieprzyjacielowi opierał się klasztor częstochowski. Przeor Augustyn Kordecki zebrał garść żołnierzy wokół cudownego obrazu Matki Boskiej, czczonego od wieków. Po czterdziestu dniach oblężenia Szwedzi zmuszeni byli, po raz pierwszy, do odwrotu. Stało się to w dzień po Bożym Narodzeniu. Naród przejęty tym niezwykłym wydarzeniem, jakby z legendarnej opowieści, przebudził się".

Klasztor częstochowski został zamieniony w twierdzę w pierwszej połowie XVII wieku — był zatem w czasie najazdu szwedzkiego warownią nie tylko nową, ale i nowoczesną. W roku 1651 — jak wynika z danych archiwum klasztornego — przeor Kordecki wydał 5.000 florenów polskich na uzupełnienie artylerii. W dodatku kasztelan krakowski Warszycki, ultrakatolik, niezwykle dbały o Częstochowę — przysłał do twierdzy 12 ciężkich dział. Załoga twierdzy klasztornej nie była ani garstką, ani zbieraniną, lecz składała się z płatnych, wyćwiczonych żołnierzy, co zresztą przyznaje w swojej książce „Nowa Gigantomachia" sam twórca owego mitu cudownej obrony, przeor Augustyn Kordecki. Warto tu dodać, że do początków XX wieku Szwedzi nie mieli zupełnie pojęcia o sprawie „cudownego ocalenia" Częstochowy, o czym pisał jeszcze przed I wojną ich historyk Westrin.

Podczas wojny szwedzkiej obie strony zabiegały o zdobycie środków finansowych na dalsze prowadzenie wojny. Najwięcej złota i srebra miały klasztory, spośród nich Częstochowa stała na pierwszym miejscu. Zaznaczyć trzeba, że cały kler zakonny z Jezuitami na czele odmawiał wówczas środków na ratowanie katolickiej Polski przed szwedzkimi heretykami — na co oburzał się sam nuncjusz papieski. Z historyków zajmujących się oblężeniem Częstochowy w 1655 roku prof. Olgierd Górka twierdzi, że geneza wyprawy szwedzkiej na klasztor była chęć zdobycia skarbów jasnogórskich na opłacenie zaległego żołdu, natomiast Adam Kersten w swojej wydanej w 1959 r. pracy wypowiada się przeciwnie. Uważa on, że Karol Gustaw był zbyt dobrym politykiem, aby w tej fazie wojny cały naród polski znieche cić do siebie aktem grabieży klasztoru. Oddziały Müllera i Wrzesowicza udały się w okolice Częstochowy dla działań przeciwko partyzantom szlachecko-chłopskim, aktywnie działającym w województwie sieradzkim. Chodziło o zlikwidowanie również punktu oporu w Częstochowie. Karol Gustaw posuwał się jednak w swej ostrożności tak daleko, że nawet nie sugerował generałowi Müllerowi osadzenia na stałe w klasztorze szwedzkiej załogi.

Pewne źródła (list Zbylitowskiego, cytowany w „Encyklopedii" Orgelbranda) podają, że przeor Augustyn Kordecki od dawna zabiegał o gwarancje szwedzkie dla majątku klasztornego. Przybył on do Krakowa i znajdował się w orszaku księdza Starowolskiego, gdy ten oprowadzał zwycięskiego Karola Gustawa po katedrze wawelskiej. Wynikiem tego poddańczego aktu było wydanie przeorowi dokumentu gwarancyjnego, tzw. salwagwardii przez Wittemberga. Później, w czasie oblężenia, główny rzekomo obok Kordeckiego bohater obrony, dowódca załogi Stefan Zamojski utrzymywał nadal kontakt ze Szwedami i zdrajcą Radziejowskim, czyniąc zabiegi o zapewnienie sobie bezpieczeństwa. Wreszcie poselstwo wysłane do króla szwedzkiego już w czasie oblężenia klasztoru, wiozło kompromitujący, wiernopoddańczy list Kordeckiego, którego treść przeor sfałszował później w swojej „Nowej Gigantomachii".

Prof. Olgierd Górka w oparciu o źródła polskie i szwedzkie stwierdza, że klasztor miał przewagę w artylerii; obala mity Kordeckiego — Müller przyprowadził z sobą nie 9.000 wojska, ale coś około 1.000 ludzi. Przy tym tylko 1/3 przypadała na piechotę! Według norm stosowanych w XVII wieku do prowadzenia dłuższego oblężenia Szwedzi mieli piechoty dziesięć razy za mało. W artylerii klasztor dysponował trzy, jeśli nie czterokrotną przewagą — konkluduje Górka. Siły obrońców oblicza na 400 żołnierzy plus szlachta, która zamknęła się w klasztorze.

Według Kerstena, Karol Gustaw w chwili rozpoczęcia oblężenia Częstochowy nie zrezygnował jeszcze z planów legalnego obioru na króla Polski i w tych warunkach sądzono w sztabie szwedzkim, że opanowanie zbrojne klasztoru może być większą klęską, niż zwinięcie oblężenia. Wobec wzrastającego zbrojnego oporu w kraju, Karol Gustaw coraz mocniej nastawał na klasztor, aby uzyskać co najmniej otrzymanie submisji — gdyż właśnie Częstochowa mogła stać się zalążkiem akcji ze strony emigracji śląskiej.

Szwedzi odstąpili od klasztoru bez uzyskania submisji, bez kontrybucji. Przeor Kordecki zorientowany w sytuacji wiedział, że podpisanie submisji w chwili, gdy opór w całym kraju narastał, a Jan Kazimierz — prawowity król, był już w drodze do Polski — mogłoby odbić się niekorzystnie na dalszych losach klasztoru.

„Jeżeli Szwedzi zrezygnowali ostatecznie z dalszego oblężenia i przeciągania pertraktacji, to przede wszystkim dlatego, że nie panowali już nad sytuacją w kraju. Narastająca szeroko fala oporu od Podgórza aż po Mazowsze zmuszała najeźdźców do koncentrowania swych sił. Tym były raczej wywołane liczne rozkazy zwinięcia oblężenia. To nie obrona Jasnej Góry pobudziła naród do walki, lecz powstały do walki naród oswobodził klasztor jasnogórski" — konkluduje Kersten.

* • *

Wychodzę z klasztoru na boczny placyk, oblężony przez kramy handlarzy dewocjonaliami. Rzecz charakterystyczna: nie ma przed klasztorem żebraków i dziadów odpustowych. Pojawiają się podobno tylko w okresach świąt maryjnych i wówczas przeor zwraca się do władz miejskich z prośbą o przegonienie ich sprzed Jasnej Góry.

Kramy z dewocjonaliami, walizki na ziemi z dewocjonaliami... Szklane kule, wewnątrz których anioł stróż prowadzi dzieci w śnieżnym krajobrazie. Wystarczy poruszyć kulą, a wewnątrz zaczyna padać śnieg... Lusterka z Matką Boską na drugiej stronie. Kartki z modlitwą i fotografią Świętej Rodziny.

Obrazy — zwykłe oleodruki, przedstawiające Chrystusa w Ogrójcu, albo też „nowoczesne". Patrząc na wprost widzimy Matkę Boską, natomiast patrząc z boku — widzimy Serce Jezusa. Są modlitewniki strasznie drogie, po 55 i 100 złotych, których koszty druku nie przekraczały 10 złotych za sztukę — ale to ceny na poziomie Jasnej Góry. Są przeróżne figurynki, poczynając od świętych — kończąc na świeckich zabawkach. Myszka Mickey na częstochowskich kramach ma ręce pobożnie złożone do modlitwy.

Wszystko kosztuje drogo. Częstochowskie fortuny handlarzy dewocjonaliami powstawały na drodze legalnej — ze sprzedaży soku z ogórków, czy ze zwykłej wody. Wiedząc o tym, że na Jasnej Górze wciąż odbywa się obrzęd święcenia wody — wystarczy tylko wlewać zwykłą wodę do butelek i sprzedawać po przystępnej cenie 10 złotych za butelkę, aby pielgrzymi kupili i zanieśli do święcenia a następnie zawieźli jako relikwię do swoich wsi. Fortuny nielegalne powstawały na przemalowywaniu świeckich portretów i zamienianiu ich na świętych pańskich, jeszcze genialniejszym pomysłem okazało się wybijanie przy pomocy sztancy medalików z Matką Boską z aluminiowych monet 2-groszowych, które następnie sprzedawano po złotówce, przynosiły zysk niespotykany w świecie — bo około 5.000 procent!!!

Dziś już te afery należą do przeszłości, natomiast okropny poziom plastyczny dewocjonaliów częstochowskich jest faktem aktualnym. Większe firmy przykładają nieco uwagi do estetyki swoich produktów — drobni producenci są całkowicie pozbawieni gustu. Pytałem pewnego poważnego działacza katolickiego — dlaczego kościół tak mało zwraca uwagi na poziom plastyczny dewocjonaliów, powodując wypaczanie gustów estetycznych i zalew szmiry na Częstochowę. Działacz ów odpowiedział, iż nie jest zadaniem kościoła troska o poziom dewocjonaliów...

* • *

Trzynaste miasto czerpie zyski z pielgrzymów i nienawidzi pielgrzymów. Czerpie — chociaż to nie jego wyłączny proceder dochodowy. Należałoby raczej napisać: czerpało. Coraz mniej rodzin godzi się przeznaczać swoje pokoje na prywatne kwatery dla pątników. Miejsc w hotelach miejskich, które co prawda zdobyły w ubiegłorocznym konkursie pierwsze miejsce w swojej kategorii w kraju — jest tragicznie mało: około 200. Ilość kwater dla pątników w gestii klasztoru sięga podobno 2.000 łóżek. Przy zwiększonym napływie pielgrzymek dzieje się w Częstochowie, świętym mieście, prawdziwe piekło. Oblężone sklepy, wszystko wykupione, w bramach i na schodach kamienic świątobliwi pątnicy śpią lub załatwiają elementarne potrzeby...

Trzynaste miasto ma inne źródła dochodu i coraz bardziej krzywym okiem patrzy na falangi ludzi, prowadzonych pod sztandarami kościelnymi do klasztoru z jakichś odległych górskich wiosek, czy mazurskich mokradeł. Ostatecznie Częstochowa poczuła się ostatnio miastem pierwszej kategorii, sama zobaczyła swoją rangę. Pijąc kawę w luksusowym, supernowoczesnie urządzonym Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy przy alei Pokoju rozmawiałem z młodym inżynierem z huty, panem H.S.

— Jestem człowiekiem wierzącym — powiedział — ale nie chodzę nigdy do klasztoru na Jasną Górę. Byłem tam ostatnio jako 12-letni chłopiec. Drażni mnie prymitywny sposób okazywania uczuć religijnych u pielgrzymów, ich rozfanatyzowanie wzmagane przez księży... Są przy tym brudni, nie umyci, spoceni... Po prostu irytują mnie.

I tak mniej więcej mówi cała Częstochowa, z wyjątkiem cwaniaków od handlu wodą święconą.

Burmistrz miasta, Tadeusz Kowalski, powiada, że pątnicy pustoszą wręcz miasto, a klasztor w żadnym przypadku nie partycypuje w inwestycjach miejskich. Przeor żądał od Rady Miejskiej wyasfaltowania placu przed klasztorem, który brukowany jest kamieniem wapiennym...

Miasto, które ma w tej chwili wiele poważnych problemów — prawdopodobnie i ów plac wyasfaltuje, bo władzom miejskim bardziej niż klasztornym zależy jednak na estetyce...

Pątnicy przychodzą i odchodzą, miasto pozostaje. Przybywa wot w klasztorze, w mieście nic nie przybywa. Prawdziwa siła miastotwórcza stała się dopiero Huta im. Bieruta, której budowę rozpoczęto w 1949 roku.

— To znaczy, proszę pana, całkiem inny kształt miasta. Nie tylko na planie urbanistycznym ale w ogóle — powiada naczelny dyrektor Huty, mgr inż. Piekutowski.

To prawda, Częstochowa zyskała dopiero dzięki przemysłowi inny kształt. Nowoczesną dzielnicę mieszkaniową na południowo-wschodnim krańcu miasta, na terenach Rakowa i Ostatniego Grosza. Ta druga nazwa pochodzi od karczmy sprzed stu lat, w której światobliwi pątnicy i biedota podmiejska tracili ostatnie pieniądze. Przedwojenna Częstochowa była miastem, w którym 80 proc. stanowiła zabudowa parterowych i jednopiętrowych domów. Było tu zaledwie 7 budynków powyżej 3 pięter.

Druga co do wielkości huta w Polsce dała też drugą Częstochowę. Bo gdyby ustawić to wszystko, co zbudowano po wojnie — obok tego, co było — otrzymalibyśmy na pewno drugą Częstochowę — powiada Piekutowski.

Inżynierowie w tym mieście — sądząc po dyrektorze Piekutowskim — są patriotami. Pokazuje mi jeszcze liczby nader wymownie świadczące o roli huty w mieście: roczna produkcja wartości ponad 4 miliardy złotych, zatrudnienie ok. 10 tysięcy pracowników. Ale to tylko część zagadnienia przemysłowego: ogólne zatrudnienie w przemyśle wynosi 44 tysiące ludzi. Roczna wartość produkcji przemysłowej, wynosząca 10 miliardów złotych rocznie daje trzynastemu miastu jeszcze wyższą pozycję w dziedzinie potentatów przemysłu.

Rozmawiałem z przewodniczącym Prezydium MRN, Tadeuszem Kowalskim, który informując mnie rzeczowo o wielkich inwestycjach komunalnych — takich, jak doprowadzenie sieci gazowej do miasta, rozbudowa sieci wodociągowej, zwrócił uwagę na liczby, dotyczące budownictwa mieszkaniowego. Częstochowa wzbogaciła się po wojnie o ok. 50 tysięcy izb mieszkalnych i jest to największy na całym Śląsku przyrost izb po mieście Nowe Tychy, zbudowanym na pustym polu. Chociaż nie ma tu szkód górniczych — wyburza się rokrocznie tyle ruder z sypiącego się kamienia wapiennego, co w miastach, gdzie istnieją szkody górnicze wskutek zapadania się terenu.

Buduje się w Częstochowie nowa, imponująca dzielnica 1000-lecia, obliczona w perspektywie na 100.000 mieszkańców. Zbudowano piękną salę dla Filharmonii na 900 osób o najlepszej w Polsce akustyce, zbudowano nowy dom towarowy PSS, ma się budować wkrótce drugi. „Orbis" planuje budowę superhotelu na 220 miejsc. W dzielnicy 1000-lecia powstaną również nowe pawilony Politechniki, Studium Nauczycielskiego, oraz Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Ta ostatnia uczelnia nie jest samodzielna, stanowi jedynie filię katowickiej WSE.

Odwiedziłem również rektora częstochowskiej Politechniki, docenta dr inż. Jana Hrajcara, który opowiedział mi o dziesięcioletnich z górą dziejach tej uczelni. Właściwie historię jej należy datować od roku 1949, gdy w Częstochowie powstała Wyższa Szkoła Inżynierska. W 1955 roku, przemianowana na politechnikę — otrzymała prawo wydawania tytułów magistra inżyniera; obecnie już od dwóch lat oba wydziały: metalurgiczny i budowy maszyn posiadają prawo doktoryzowania. Na Politechnice studiuje obecnie 1.700 osób. W tym miejscu dodać trzeba, że Częstochowa jest w ogóle miastem młodzieży: w szkołach uczy się 24 proc. ludności!

18 katedr częstochowskiej politechniki zajmuje się nie tylko praca dydaktyczna — ale również prowadzi badania naukowe. Niezwykle ciekawe prace w skali europejskiej prowadzi katedra podstaw konstrukcji maszyn nad zagadnieniem naprężeń własnych i zmęczeniem metali — pod kierunkiem doc. dr Opolskiego. Nad nową technologią i intensyfikacją procesów w hutnictwie prowadzi badania katedra odlewnictwa, doc. Balicki opatentował ze swojej katedry 8 wynalazków. Niezwykle ciekawe prace prowadzi nad laserem rubinowym jeden z najwybitniejszych polskich specjalistów z dziedziny spektografii, doc. dr Klimecki. W najbliższym czasie politechnika zbuduje pawilon o kubaturze 27 tysięcy metrów sześciennych dla nowego wydziału elektrycznego, nowy dom studencki na 320 miejsc oraz audytorium główne na 300 miejsc. Zakłady przemysłowe Zagłębia Częstochowskiego i okoliczne powiaty pragną placówce naukowej pomóc intensywnie w jej zamierzeniach.

* • *

Znany jest z wielu filmów, w których kreował role, a także z wielkich ambicji reżyserskich. Ma pasję grania repertuaru współczesnego, chce dojść do mistrzostwa w robieniu współczesnej polskiej dramaturgii. Dzięki temu głośny stał się w Polsce częstochowski teatr i jego kierownik artystyczny, August Kowalczyk.

To trudna sprawa — mieć ambicje eksperymentatorskie, gdy w mieście jest jeden teatr i musi służyć repertuarem rozrywkowym, lekkim, repertuarem klasycznym, wreszcie młodzieżowym. Kowalczyk przyszedł tutaj przed trzema laty, z myślą, że bez współczesnego repertuaru nie ma współczesnego teatru. I trzeba znaleźć sposób, aby repertuar współczesny grać. Postanowił uruchomić małą scenę wyłącznie dla eksperymentów — jako laboratorium, w którym autor współczesny mógłby się sprawdzić. Zaczął realizować swój program z pełnym poczuciem ryzyka artystycznego i... finansowego. Częstochowa w ten sposób odkryła kilku nowych dramaturgów, których sztuki idą obecnie na wielu scenach. Jerzy Przeździecki napisał do tej pory trzy sztuki, debiutował „Dniem oczyszczenia", później szła „Garść piasku" i „Nasz przyjaciel Kain". Do tej pory „Garść piasku" grało już 10 teatrów. W Częstochowie wystawił swoją pierwszą sztukę „Medeę" znakomity polski pisarz Jan Parandowski, miłośnik tematu antycznego, tutaj debiutował scenicznie inny prozaik — Jan Kurczab, tu wreszcie sprawdził się na scenie Zenon Maciej Bordowicz w trzech kolejno dla Kowalczyka napisanych sztukach.

Za okres ostatnich trzech lat teatr Kowalczyka może poszczycić się niebłahymi osiągnięciami. W telewizyjnym plebiscycie śląskim sztuka Kurczaba „Kanada" uzyskała pierwsze miejsce. Na I telewizyjnym festiwalu teatrów nagrodę Klubu Krytyki Telewizyjnej za „Medeę" Parandowskiego. Na II festiwalu telewizyjnym aż trzy nagrody naraz za „Garść piasku" Przeździeckiego — w tym dwie dla samego Kowalczyka: za reżyserię i rolę Gezy, trzecia nagroda dla Barbary Bargiełowskiej za rolę Anki. W 1964 roku nagroda Ministra Obrony Narodowej za sztukę Skowrońskiego „Ludzie w mundurach" — dla reżysera, Augusta Kowalczyka.

Z repertuaru klasycznego, komediowego wystawiono „Śluby panieńskie" Aleksandra Fredry, które uzyskały rekord: 120 przedstawień. Adaptacja sceniczna „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza chyba ten rekord pobije — w ciągu 4 miesięcy sztuka szła 70 razy. A jeszcze większą sensacją stanie się „My fair lady"...

* • *

Tego jednak ominąć się nie da. Dokładnie 106 metrów i 30 cm wysokości, wieża jasnogórskiego klasztoru. Wspinam się po stopniach na sam szczyt. Widok stąd wspaniały i rozległy. Miasto jest oblężone wokół — nie przez pielgrzymki, ale przez zakłady przemysłowe. Huta Bieruta, Fabryka Piór Wiecznych, Huta Szkła, Fabryka Urządzeń Mechanicznych, nieco dalej Sabinów i kopalnie rud żelaza, jeszcze dalej cementownie w Rudnikach i Działoszynie, odlewnia w Blachowni, bliżej stare już zakłady przemysłu bawełnianego i lniarskiego...

Miasto stało się metropolią nowego zagłębia przemysłowego. Mnóstwo prywatnych samochodów, największa ilość w Polsce — to nie sprawy handelku dewocjonaliami, ale wysokich zarobków w przemyśle. Ostatecznie dewocjonalia — to produkcja roczna wartości 50 milionów, przemysł — produkcja wartości 10 miliardów... Do kawiarń Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy, do Teatru im. Adama Mickiewicza przyjeżdżają inżynierowie z okolicznych osiedli przemysłowych, z Działoszyna, Rudnik, Blachowni...

Zejdźmy z wieży. Po ulicach chodzi mnóstwo pięknych dziewcząt. Wysokie, zgrabne, śmigłe — przedstawicielki udanego, powojennego pokolenia — częstochowianki uważane są za jedne z najładniejszych w Polsce. Pielgrzymi omałże nie poskręcają sobie karków, oglądając się za nimi. A dodać trzeba, że w Częstochowie jest o 10 tysięcy kobiet więcej niż mężczyzn! Te ładne dziewczyny na nowoczesnych ulicach nowej Częstochowy, współczesnego, europejskiego miasta — to naprawdę cudowny obraz!

JANUSZ BOSZKO

ZOFIA LIBISZOWSKA

W ROCZNICĘ KONSTYTUCJI 3 MAJA

Dzień trzeci maja utrwalił się na zawsze w pamięci narodowej. W sercu każdego Polaka wywołuje wzruszenie i dumę, wzmaga poczucie łączności z tradycją dziejową i odpowiedzialności za jej godne kontynuowanie.

Upływa właśnie sto siedemdziesiąt pięć lat od tej pamiętnej chwili. Pierwsza jej rocznica obchodzona była niezwykle uroczyście i radośnie w wolnej jeszcze Warszawie, następne, już w ciężkich latach porozbiorowych, niejednokrotnie ukradkiem lub tylko na obczyźnie. Naród polski ukochał tę datę i nawet w najtrudniejszych chwilach rozpaczy, upadku i przemocy była mu ona zawsze odbiciem jego wielkości i natchnieniem na przyszłość. Sięgamy więc rokrocznie do tej chlubnej tradycji narodowej, by ją umacniać i pielęgnować w pokoleniu współczesnym, by przez znajomość dnia wczorajszego zrozumieć lepiej dzień dzisiejszy i jutrzejszy.

Reforma konstytucyjna nie jest jednak tylko okazją do uroczystych obchodów i wspomnień o wydarzeniach zamkniętego już rozdziału dziejów Polski. Dzieło Sejmu Czteroletniego żyje nadal w naszej nauce historycznej. Dzięki nowym badaniom, wydawnictwom źródeł i odkryciom, w nietkniętych poprzednio zespołach archiwalnych, ukazują się wciąż nowe karty naszej przeszłości, ożywiają ludzi, ich poczynania, zamierzenia, intencje. Fakty nabierają ostrzejszych konturów — dostrzegamy je wyraziściej na tle coraz lepiej rozumianej epoki.

Powojenne osiągnięcia naszej historiografii otwiera obszerna praca Bogusława Leśnodorskiego „Dzieło Sejmu Czteroletniego". Wrocław 1951, poprzedzona i uzupełniona szeregiem artykułów i wypowiedzi tego wybitnego znawcy historii państwa i prawa. Wysiłkiem żmudnej, zespołowej pracy ukazuje się seryjne wydawnictwo źródłowe: „Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego", gromadzące bogatą, rozproszoną i nieraz unikalną już publicystykę sejmową. (Dotychczas ukazało się 5 tomów). Studia i monografie J. Dutkiewicza, J. Dihma, E. Rostworowskiego, Ł. Łojka, J. Michalskiego i innych poszerzyły ogromnie nasze pole widzenia, ukazały działalność Sejmu i związanych z nim ludzi w zakresie nie tylko ustawodawczym, ale też w pracy nad uporządkowaniem administracji, finansów, zorganizowaniem służby zagranicznej, systemu zarządzania państwem i reorganizacji armii. Nauka nasza w twórczy sposób rozwinęła, pogłębiła i skorygowała pionierskie studia historyków wieku XIX: Waleriana Kalinki, Tadeusza Korzona, Władysława Smoleńskiego czy Szymona Askenazego — wielkich mistrzów pióra, którym fascynowali ongiś swych współczesnych.

Wobec ogromu problematyki wydobytej przez naszą naukę historyczną i bogactwa myśli, nasuwających się historykowi w momencie dokonywania jej przeglądu, ograniczę się do scharakteryzowania kilku tylko aspektów naszej „majowej rewolucji", bo chyba mamy prawo tak ją nazwać, chociażby posługując się terminologią ludzi współczesnych wypadkom.

Dzieło reformy i odnowy państwa, zapoczątkowane już w drugiej połowie XVIII stulecia, wyrosło z trzech źródeł. Pierwsze z nich, to przemiany gospodarcze, dokonujące się w naszym kraju. W zacofane stosunki rolne wkraczały powoli nowe elementy ekonomiczne: umowy czynszowe, nowe osadnictwo i ulepszenia techniki rolnej, a wraz z nimi wzrost wydajności zbiorów. W miastach manufaktury wypierały dawne formy cechowego rzemiosła. Ruszył handel. Ożywił się rynek wewnętrzny i wymiana zagraniczna. Rosła Warszawa — miasto przodującej inteligencji i patriotycznego plebsu. W ciągu pięćdziesięciolecia potroiła ona swoją ludność. Silne ekonomicznie mieszczaństwo Warszawy i innych miast gotowe było podjąć walkę o prawa polityczne i społeczne. Chłopi w czynnej walce z feudalnym uciskiem zdobywali prawa do ziemi, domagali się wolności osobistej i zniesienia nadmiernych ciężarów pańszczyźnianych.

Drugim źródłem wielkiej reformy jest ideologia oświecenia. Po latach upadku kultury, oświaty i nauki, po okresie tępoty politycznej i klasowego egoizmu, Polska stanęła w blasku kultury oświecenia. Przemiany dokonywały się z gorączkowym pośpiechem i niespotykanym nasileniem. Zaszczepione na polski grunt myśli angielskich czy francuskich pisarzy podjęte zostały oryginalnie i twórczo w naszym piśmiennictwie i działaniu.

W ostatnich dziesięcioleciach XVIII wieku mamy do czynienia ze zjawiskiem szczególnej ekspansji talentów i twórczości, z jakimś niebywałym przełomem, dzięki któremu polska kultura narodowa nie tylko nadrobiła zacofanie poprzedniego stulecia, ale stanęła w godnym szeregu wśród przodujących narodów ówczesnej Europy, a nawet zdobyła się na całkowicie oryginalne osiągnięcia.

U nas to ku zainteresowaniu i zdumieniu Europy, powstaje pierwsze na świecie Ministerstwo Oświaty, Komisja Edukacji Narodowej, powołana do życia na Sejmie 1773 roku. Przejęcie przez państwo organizacji nauczania i nauki, koncepcja oświaty powszechnej, dążenie do rozbudowy sieci podstawowego nauczania, przy równoczesnej reorganizacji szkolnictwa średniego i wyższego, to wielki zakres skutecznego działania tej chlubnie zapisanej w dziejach naszej kultury instytucji. Wychowane w nowej szkole szeregi młodzieży, kształcone w duchu narodowym i patriotycznym, stanęły w decydujących chwilach działalności Wielkiego Sejmu po stronie postępu i reform.

Prócz szkoły, poczucie narodowe kształtowała literatura i piśmiennictwo polityczne. Skażone maniera makaronizmów, piękno rodzimej mowy wskrzeszane zostało piórem Krasickiego, Naruszewicza, Węgierskiego, Trembeckiego, Kniaźnina, Zabłockiego i plejady innych literatów, skupionych tak w kręgu „obiadów czwartkowych", jak i kształtujących odrębne środowisko inteligencji warszawskiej. Fraszka, satyra i bajka, smagały zaśniedziałe przesądy i wady. Poezja i proza uderzały w nutę patriotyczną, przemawiały siłą talentu i mocą słowa. Wystawiane na deskach sceny narodowej sztuki rodzimych pisarzy i adaptacje obcych poddawały pod rozwagę najistotniejsze problemy społeczne i polityczne, najczęściej w formie lekkiej popularnej wówczas komedii.

Płomienna publicystyka Staszica, Kołłątaja, Jezierskiego, Wybickiego i Zamojskiego, polskich fizjokratów i głosicieli reformy, których nazwiska wydobywamy dziś z anonimowych przeważnie wypowiedzi, z nieodpartą mocą i pasją uderzała w podstawy ustroju i niesprawiedliwości społecznej. Zapożyczając od oświecenia zachodniego nową oprawę filozoficzną, wskrzeszała na polskim gruncie wyrosłe i bliskie naszemu narodowemu temperamentowi hasła wolności i równości obywatelskiej, rozciągając je na wszystkie stany.

Druga połowa stulecia to również narodziny prasy periodycznej. Jej łamy stanęły otworem dla toczącej się ogólnonarodowej dyskusji, odbijały się w nich problemy współczesnego życia. Reprezentowała ona szeroki wachlarz poglądów i stanowisk. Wiadomości bieżących dostarczała konserwatywna „Gazeta Warszawska", pod redakcją ks. Łuskiny. W latach Sejmu Czteroletniego konkurowała z nią skutecznie redagowana przez Niemcewicza i Weyssenhofa „Gazeta Narodowa i Obca" — płomienny organ stronnictwa patriotycznego. Problematykę społeczną i moralną podejmuje świetnie redagowany przez Bohomolca i Krasickiego „Monitor". Magazynem literackim są „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne", a miesięczny pokaźny tomik „Pamiętnika Polityczno-Historycznego" przynosi swym odbiorcom szeroki wachlarz różnego rodzaju wiadomości i artykułów problemowych. Redaktor tego pisma ks. Piotr Świtkowski, zaangażowany po stronie reformy, przygotowuje do niej systematycznie swych czytelników. Oswaja ich z ideologią polityczną oświecenia, propaguje pisma francuskich filozofów i myślicieli we własnych przekładach i streszczeniach.

W atmosferze przemian społecznych i wielkiego ożywienia intelektualnego dokonywało się dzieło Sejmu Czteroletniego wraz z jego wiekopomnym aktem — Konstytucją 3 maja.

I wreszcie trzecim impulsem do reformy było zagrożenie zewnętrzne państwa — groźba nowego rozbioru i utraty niepodległości.

Reorganizacja podstaw ustroju państwa i jego siły zbrojnej wysunęły się więc jako pierwsze planowe zadanie, zwołanego w paźdz. 1788 r. sejmu, który przynajmniej w pierwszej swej fazie obradował w pomyślnej dla nas koniunkturze międzynarodowej. Rosja i Austria zajęte były wojną z Turcją, a równocześnie odwróciły się od nich Prusy. Blok trzech rozbiorców był skłócony. Dla reformy państwa chwila więc była dogodna. Rezultaty, ciągnącego się przez lat cztery Sejmu, oceniane były różnie. Znękani jesteśmy chwilami powolnością jego prac i decyzji. Walka o reformę nie była łatwa, nie brak było jej przeciwników, sesje sejmowe wlokły się, rozchodziły na bezpłodnej gadaninie. „Blisko dwa lata radzimy, a jeszcześmy nie dokonali ani jednej z tych głównych ustaw, które tylko mogą nasz kraj postawić na drodze pewnej i ugruntować jego trwałość i wzrost" skarżył się w „Przestrogach dla Polski" Stanisław Staszic.

Oceniając z perspektywy stuleci trwałe wartości Konstytucji 3 maja i dostrzegając słabe jej strony, pamiętać musimy, że rodziła się ona w warunkach niezwykłych i że była pierwszym tego rodzaju dokumentem w Europie. Ideologowie oświecenia podjęli walkę ze starym porządkiem, atakowali ustrój oparty na przywileju stanowym i władzy króla z „bożej łaski". Opracowali nowa, na zasadach prawa natury oparta, teorię władzy i suwerenności ludu. Nie byli jednak zgodni co do charakteru tego wymarzonego państwa przyszłości. Wtedy jeszcze nigdzie w praktyce życia politycznego nie znalazły zastosowania te koncepcje i dążenia. Nie było więc właściwych wzorów, godnych naśladowania i przyjęcia. Wprawdzie niedługo przedtem ogłoszony został projekt konstytucji Stanów Zjednoczonych, ale „miraż amerykański" nie okazał się przydatny dla naszej rzeczywistości. Konstytucja Stanów Zjednoczonych miała bowiem charakter bardzo ramowy a jej myślą przewodnią było zabezpieczenie równego udziału wszystkich stanów w centralnych władzach państwa, podział władzy i wybieralność wszystkich jej organów. Ten model w warunkach polskich prowadziłby do dalszej decentralizacji.

Autorzy polskiej konstytucji: król Stanisław August Poniatowski, Hugo Kołłataj i Ignacy Potocki, opierając się na ideologii politycznej wyrosłej w wieku rozumu, po długich dyskusjach i kilkakrotnie przerabianych projektach, potrafili wypełnić ją treścią, odpowiadającą potrzebom, możliwościom i tradycjom ustrojowym naszego społeczeństwa.

Konstytucja 3 maja zachowała jeszcze resztki systemu stanowego, ale znacznie rozluźniła istniejące przegrody społeczne, dostrzegając we wszystkich mieszkańcach obywateli kraju. Otwierała też drogę do szybkiego zrównania stanu mieszczańskiego ze szlacheckim, odbierała „gołocie" uprawnienia polityczne. Zapowiadała przyszłe reformy chłopskie, głoszące hasło: że „z reki ludu rolniczego płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło".

W zakresie władzy rządowej autorzy ustawy przyjęli zasadę podziału władzy, ale w naszych warunkach doniosłe znaczenie miało przede wszystkim wzmocnienie jej organów wykonawczych. Zniesiono źrenice złotej wolności szlacheckiej: liberum veto i wolną elekcję.

Reformy Sejmu Czteroletniego zaniepokoiły europejskich despotów, którzy nie bez słuszności dopatrywali się w nich powiązań z wydarzeniami rewolucji francuskiej. Wzbudziły podziw w kołach oświeconych i pochwały najwybitniejszych umysłów epoki. Pisano o nas dużo i z sympatią. Ochotnicy z zagranicy rwali się do walki w obronie zagrożonej wolności i konstytucji w Polsce, gdy pod przemocą wrogiej interwencji, złączonej ze zdradziecką, magnacką frakcją, dzieło Sejmu Czteroletniego zostało obalone, głos oburzenia i protestu rozszedł się po całej Europie.

Osiągnięcia kultury oświecenia, dzieło Komisji Edukacji Narodowej i Konstytucja 3 maja utrwaliły w Europie pamięć ginącego, lecz moralnie odrodzonego narodu a sprawa polska złączyła się nierozerwalnie ze sprawą postępu społecznego, rewolucji i walki z uciskiem narodowym. Słusznie więc dzień 3 maja, rocznica triumfu myśli oświeceniowej, inauguruje ofensywę socjalistycznej kultury pod hasłem „DNI OŚWIATY KSIĄŻKI I PRASY".

Fot. A. ZAKRZEWSKI

KIEDY NASTĄPI POPRAWA?

Na łamach „Odgłosów" ukazał się artykuł red. F. Bąbola pt. „Klienta to nie obchodzi?"... Problematyka poruszona w tym artykule oparta o przykłady zaczerpnięte z ŁZPB im. Obr. Pokoju, w rzeczywistości dotyczy żywotnych spraw całego przemysłu bawełnianego — jego perspektyw rozwojowych, planów i zamierzeń w dziedzinie poprawy jakości i nowoczesności planów oraz zamierzeń w dziedzinie poprawy jakości i nowoczesności produkcji. Jednak w sytuacji, kiedy zaopatrzenie rynku wewnętrznego w tkaniny bawełniane nie jest jeszcze najlepsze należy odpowiedzieć klientowi przede wszystkim na dwa pytania:

PO PIERWSZE — dlaczego tak się dzieje?

PO DRUGIE — kiedy nastąpi poprawa w tym zakresie?

Odpowiadając na pierwsze pytanie, należy na wstępie stwierdzić, że autor cytowanego wyżej artykułu miał wiele racji, pisząc o trudnościach (głównie zaopatrzeniowych) na jakie napotyka przemysł w trakcie przetwarzania beli bawełny czy sztucznego włókna w tkaniny czy nici.

Rzeczywiście są okresy złych dostaw surowcowych, co w sytuacji istnienia niskich zapasów nierzadko wpływa ujemnie na jakość wyrobu finalnego. Przemysł bawełniany zużywa większość, bo ca 70 proc. surowców pochodzących z importu.

Nie jest tajemnicą, że na skutek rozwoju rodzimych przemysłów bawełnianych w tych krajach, gdzie rośnie bawełna (np. w Egipcie), podaż tego surowca się zmniejsza, rosną jego ceny. Te fakty zmuszają nas do zmiany struktury bazy surowcowej na surowce syntetyczne — bawełnopodobne, jak elanę z przeznaczeniem na tkaniny koszulowe, płaszczowe, czy wiatrówkowe, czy też polanę na wzmocnione drelichy. Jak każda nowość rzecz ta nie przychodzi łatwo. Przemysł bawełniany przerabiający te surowce napotyka wiele trudności technologicznych. Trudności te są stopniowo opanowywane. Trzeba tu stwierdzić na marginesie, że Polska, po Anglii, Francji, NRF i Włoszech znajduje się w czołówce krajów, które podejmują nadzwyczaj trudną produkcję elany bawełnopodobnej.

Zagadnienie barwników i chemikaliów stanowi odrębny problem zaopatrzeniowy, który ma zasadnicze znaczenie dla przemysłu bawełnianego. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o zapewnienie tkaninom odpowiednio trwałych wybarwień i żywej kolorystyki oraz nowoczesnych apretur. Krajowa baza barwników i chemikaliów jest jeszcze nie wystarczająca, brakuje u nas wielu surowców i półfabrykatów, z których wytwarzane są wysokiej jakości barwniki czy środki wiążące. Stawia to przemysł bawełniany w przymusowej sytuacji — odbierania całej oferowanej masy.

Omówione wyżej trudności zaopatrzeniowe to jedna strona omawianego zagadnienia.

Druga strona dotyczy samego przemysłu bawełnianego, jego fabryk, maszyn i urządzeń produkcyjnych, stosowanych procesów technologicznych i kadr. Czy od tej strony wyczerpano wszystkie możliwości poprawy w zakresie zaopatrzenia indywidualnych odbiorców krajowych w wysokogatunkowe tkaniny?

Na pewno nie — i trzeba tu z całą stanowczością stwierdzić, że Uchwały IV Plenum KC PZPR, które kładą na zjednoczenia branżowe odpowiedzialność za zaopatrzenie ilościowe i asortymentowe odbiorców wymagać będą od przemysłu zmiany stosowanych metod planowania i zarządzania.

System prowadzenia zakładów za rękę, wtłaczania ich w ramy olbrzymiej ilości wskaźników dyrektywnych musi być zastąpiony systemem bodźców ekonomicznych zmuszających zakłady do samodzielnej pracy w ramach uzgodnionych i przyjętych przez nie okresowych planów gospodarczych.

Przemysł bawełniany podjął poważną pracę nad zrekonstruowaniem asortymentu produkowanych przez siebie wyrobów. Przyjęto generalną zasadę, że 70 proc. całości produkcji powinno obejmować wyroby tzw. standardowe, to jest te, które na przestrzeni dłuższego czasu są mniej więcej równomiernie zużywane (np. tkaniny pościelowe) oraz 30 proc. produkcji powinny stanowić tzw. nowości, tj. tkaniny nowoczesne pod względem konstrukcji, przeznaczenia i mody.

Poruszony przez autora cytowanego artykułu problem kontaktów przemysłu z handlem na pewno wymaga okresowych modyfikacji i uelastycznienia, szczególnie w zakresie nadania większej rangi giełdom towarowym.

Kłopoty z wykonawstwem podjętych przez przemysł bawełniany zobowiązań wobec odbiorców niewątpliwie istnieją, i — jak to autor podkreślił — składa się na to cały szereg czynników, natury nie zawsze zależnej od przemysłu bawełnianego. Tym niemniej, abstrahując od tego, trzeba powiedzieć, że zaspokajanie potrzeb rynku, stanowiące ciągłą troskę naszego przemysłu, chyba nie przypomina mimo wszystko gry w pokera, a jeżeli nawet — to jest grą, w której z reguły rynek, (czyt. indywidualny konsument) wygrywa.

Świadczą o tym w niezbity sposób liczby, określające wykonawstwo założeń planowych w roku 1965. I tak:

Dostawy tkanin wykończonych ogółem wykonano w 102,4 proc. w tym: tkanin bawełnianych 103,1 proc.

Jedyną pozycją niewykonaną są tkaniny wełnopodobne typu WB (92,5 proc). Przyczyną niewykonania były rezygnacje CTO, spowodowane nasyceniem rynku.

Odpowiadając z kolei na pytanie, kiedy nastąpi poprawa w zaopatrzeniu rynku w wyroby wysokogatunkowe, trzeba na wstępie stwierdzić, że zależy to w głównej mierze od dalszej modernizacji przemysłu, a szczególnie od modernizacji procesów wykończalniczych. Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na nowe inwestycje i na modernizację maszyn w podstawowych wydziałach produkcji tj. przędzalniach, tkalniach i wykończalniach. Oddano do użytku nowoczesne obiekty przemysłowe, jak wykończalnie w Andrychowie — tkalnie w Fastach i Zambrowie, w Kutowie, przędzalnie w Bełchatowie i ZPB im. J. Marchlewskiego.

W trakcie realizacji jest przędzalnia w Zduńskiej Woli i duża wykończalnia w Fastach. Ponadto zmodernizowano przędzalnię ZPB im. J. Marchlewskiego, 1 Maja, Kunickiego, Obr. Pokoju itd. Modernizuje się obecnie przędzalnię w Częstochowie, w Pabianicach, wykończalnię im. Armii Ludowej i ZPB im. J. Marchlewskiego.

Nawiązując do konkretnych zagadnień poruszonych przez autora artykułu i dotyczących dalszej modernizacji ŁZPB im. Obr. Pokoju trzeba stwierdzić, że taka modernizacja jest planowana. Dotyczy to szczególnie wykończalni. W 1965 roku opracowano projekt modernizacji tej wykończalni, przy czym niektóre jego elementy są już bieżąco realizowane. I tak np. zainstalowano urządzenie „Thermozol" do wykończania tkanin z udziałem włókien syntetycznych, zainstalowano dalsze maszyny wykończalnicze jak np. merceryzarkę i suszarki ramowe. Całość modernizacji łącznie z wymianą przestarzałego bielnika ma być ukończona w 1969 roku.

Kończąc należy stwierdzić, że przemysł bawełniany czyni wiele wysiłków, aby w obecnej sytuacji gospodarczej, przy maksymalnym wykorzystaniu przypadających mu stosunkowo szczupłych środków inwestycyjnych — unowocześnić swoją bazę techniczną, tak aby móc realizować opracowany przez siebie program unowocześnienia produkcji w latach 1966—1970.

ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU BAWEŁNIANEGO W ŁODZI

ANTONI KASPROWICZ

POJEDYNEK

Uradziliśmy wieczorem: moja, twoja lub niczyja. Znaczy się: pokonam Felka — Teresa moja. Felek nabije mi śnupę — Teresa jego. Remis: nie damy Teresy nikomu, choćby miała zostać stara panna.

Rozmazaliśmy się w niej obaj na zabój i każdy z nas całował ją ukradkiem pod schodami, a ona szelma te swoje śliczne gały raz na mnie, raz na Felka. Trzeba było wreszcie skończyć z tą grą w ciuciubabkę. Zresztą obaj byliśmy zwolennikami jasnej sytuacji. Dlatego też uradziliśmy: moja, twoja lub niczyja. Znaczy się: nazajutrz po południu spotykamy się obaj bez świadków za torem kolejowym w pobliżu zarzewskiego cmentarza, by w bójce na piachy lub noże rozstrzygnąć, do kogo wreszcie należeć będzie Teresa, to nasze wspólne nieszczęście.

Prawdę mówiąc bałem się tego spotkania, bo Felek praktykant ślusarski, nie żadne chucherko, a ja, bezrobotny, syn tkacza, wychowany na kartofelkach i zalewajce, nie czułem w sobie należytej krzepy, by zdzierżyć byków. No, ale rzekło się i wola boska. Późnym wieczorem jednak, czując w sercu ciągły niepokój, udałem się na Rawską do babki, w pęte.

Przerwała modlitwę przed obrazem rozświetlonym różową lampką oliwną, gdy ja do niej:

— Babciu, jak Boga kocham, pożycz na ćwiartułę. Jutro mam rozprawę na śmierć lub życie i czuję, że do rana nie zasnę.

No i opowiedziałem jej mniej więcej, co i jak. Na to kochana babulina, która często ratowała mnie w potrzebie, zaczęła szperać w szufladach staroświeckiej komody i naraz podsunęła mi pod nos — myślałem, że skonam książeczkę do nabożeństwa.

— Pomódl się Józuś do świętej Teresy — poradziła — a wszystko jakby ręka odjął. Ona, tylko ona, a nie żadna wódka i zagrycha. Więc pomódl się, dziecko, i kładź się spać spokojnie, a jutro podziękujesz babci za poradę. Niech cię Bóg prowadzi.

Cholera z taką radą — pomyślałem, ale w pokorze ducha przyjąłem dla pucu podaną mi książeczkę i zmoknawszy babkę w rękę suchą jak rzemień, udałem się zmartwiony do domu.

W marcowym świetle księżyca kryte papą dachy drewniaków błyszczały jak porcelana, a gazowe latarnie trupim blaskiem przeglądały się w nie wymiecionych rynsztokach, gdy z ulicy Rawskiej skręciłem w Przedzalniana

— O rany! — westchnąłem. — Ludzie kładą się spokojnie spać, jakby nigdy nic, a ja jutro z tym bykiem, aż strach pomyśleć... — I na samo wspomnienie włosy zesztywniały mi na głowie.

— Chyba babula oszalała z tą książeczką — pomstowałem na głos, ale przystanąłem pod latarnią i z ciekawości przerzuciłem kilka kartek. — Aha. Nowenna do świętej Teresy. Rozmyślanie: „Czuję, że posłannictwo moje rozpocznie się po śmierci". Nie, nie, to nie dla mnie! — wykrzyknąłem, przewracając dalsze stroniczki. — A oto Akt strzelisty. Modlitwa. Deszcz róż i znów Akt strzelisty, i znów Modlitwa, i znów Deszcz róż. Banalne i śmieszne. Żaden argument na piachę Felka. — Zerknąłem jednak na przedostatnią karteluszkę, gdzie w pieśni na nutę: „O Józefie ukochany" (coś dla mnie) wydrukowano: „Ach, uproś nam Twój deszczyk róż, byśmy wśród trosk, wśród życia burz, kroczyli tam, gdzie szczęścia zdrój, gdzie wieńczy Bóg, wytrwały bój". — No, czekaj, łachudro, już ja ci pokażę jutro! — zawołałem pokrzepiony, kierując się do domu.

Gdy wszedłem do mieszkania, rodzice leżeli już w łóżku, a ojciec chrapał, aż ściany drżały. Więc raz, trzask wyskoczyłem z ciuchów i wpakowałem się w swoje wyrko. W pewnej chwili matka, leżąc skromniutko obok ojca, szepnęła:

— Józek, co ty tam mamrzesz pod nosem?

— Nic, nic, mamo, ja tylko tak sobie — uspokoiłem ją, ale w myśli powtarzałem: „... byśmy wśród trosk, wśród życia burz, kroczyli tam, gdzie szczęścia zdrój, gdzie wieńczy Bóg, wytrwały bój". Rzeczywiście ta babunia to kochana babunia — pomyślałem zasypiając.

Gdy rano zerwałem się z łóżka, ojca już nie było a matka do mnie z wyrzutami:

— Oj Józek, Józek! Tobie w głowie tylko kumple, karty i duperele, a strajk trwa trzeci tydzień i grosza nie ma na żarcie. Czy wiesz, że chleb i kartofle od tygodnia bierzemy na kredę? A czy wiesz, że Andzie aresztowali, że Ramusa przymknęli, że Szmula Granka zaplincowali? Że Kolasę, gdy na Wilczej ciskał w pancerkę kamieniami, tajniacy skatowali jak bydlę? A czy słyszałeś, co się wczoraj działo u Zyndermana? Czy nie widzisz, że ojciec od trzech dni... — biadoliła, krzątając się po mieszkaniu.

— Głowa mi pęka, mamo, od tego trajkotania — odburknąłem, i chwytając ze stołu kromkę chleba, zbiegłem po schodach na podwórko, do komórki, gdzie miałem ukryty fiński nóż. Wecując ostrze na osełce, powtarzałem sobie pod nosem fragment pieśni do świętej Teresy. „Żeby tylko babka miała rację, to już ja urządzę tego śmierdziela na amen" — przysięgałem sobie w duchu, próbując ostrze na kawałku drewienka, z którego posypały się strużyny.

Prawdę mówiąc, marnej muchy nie zabiłem w życiu, ale kiedy przypomniałem sobie, że Felek całował i gniótł Teresę pod schodami, pociemniało mi w oczach i zapragnąłem krwi.

Nie zastanawiając się długo, wepchnąłem czym prędzej ostrze noża w skórzaną pochewkę i wyszedłem na ulicę, która nieprzebrane tłumy zdążały w kierunku Rokicińskiej. Niektórzy ludzie byli odświętnie ubrani, poważni. Niektórzy nieśli wieńce. Inni — źle zamaskowane transparenty.

Idąc zamyślony za tym tłumem, natknąłem się przypadkiem na Kaźka Witczaka.

— Byłeś wczoraj na barykadach? — zapytał.

— Na barykadach? Gdzie? Wczoraj grałem w karty pod cegielnią — usprawiedliwiałem się.

— Oj, ty frajerze. Przecież wczoraj była prawdziwa Komuna Paryska — mówił, przytrzymując mnie za kapotę. Więc ja słuchałem, a on gadał gestykulując:

— Najpierw, uważasz, pognali nam kota na Wodniaku, nie? Tak my, bracie, w Rokicińską. Patrzymy, a tu stoi dycha. Więc my za dychę i już tramwaj leży na bruku, nie? Więc konna znów knaja za nami, to my za kamienie i prask, trzask — kilka glin fiknęło z koni. Ale i nas pokosili, nie? Pyrka ranny, Bisinger ranny, Gralina ciachnięty, Walerka zbita i Syska bagnetem wziął w dupę, nie? Lecz oni znów do nas. Tak my znów za kamienie i cofamy się pomału do Zyndermana, wiesz, za składem trumien, a tam już kobiety siedzą na dachach, nie? Ale glin kupa. Bagnety mają, karabiny mają, konie, szable mają, a my co? Więc walim w bramy, a z dachów bracie, wrzatek, cegły, kafle i żelazo. Sodoma i Gomora, jak pragnę zdrowia, nie? Zanim jednak wyskoczyliśmy na dachy, oni dali salwę. Jedną, drugą. I wtedy kropnęli dziewczynę. Oj, co się potem działo, to nie daj Boże! Strach opowiedzieć.

— To dziś ten pogrzeb? — zapytałem po chwili.

— O czwartej maja wyruszyć. Przecież widzisz, że sklepy zamykają, a lud wali jak na procesję. Idziemy, nie?

— Nie, Kaziuniu. Nie mogę. Mam dziś ważną rozprawę.

— W sądzie? — zdziwił się.

— W polu, Kaziuniu, w polu, za torem pod parkiem sztywnych — powiedziałem, pozostawiając go zdumionego na ulicy.

Było pogodne marcowe południe. Pęczniały gałązki kasztanów, a gdzieniegdzie spod nagrzanej ziemi wygladały anemiczne przebiśniegi i sasanki. Ale w głębokich bruzdach i cienistym rowie widać było jeszcze brudne płaty śniegu.

Szedłem Milionową wzdłuż rowu w stronę kolejowego toru, który przecinał wioskę Zarzew, by okrężną drogą przedostać się na nasyp pod cmentarzem, gdzie miałem stanąć do walki z Felkiem Komodą. Było za wcześnie, więc szedłem powoli, radując oczy błękitnymi smużkami dymów wydmuchiwanych z kominów przysadzistych strzech, a uszy — skrzypem studziennych żurawi i porykiwaniem krów.

Ale oto już nasyp, więc skręciłem na prawo, potem znów przez tor na lewo i prosto pod mur cmentarny. Do Felka Komody. Na krwawą rozprawę. I nagle włosy zjeżyły mi się na głowie.

Sądziłem, że będę pierwszy, ale byk czekał już na mnie pod kolczastym krzakiem głogu.

— No, więc zaczynamy! — zawołałem drżącym głosem, podchodząc do niego, a on do mnie:

— Zwariowałeś, Józek? Czyś ślepy? Nie widzisz, co się dzieje? Spójrz w te zarośla... No, co?

— Budka.

— Dupa, nie budka, Pancerka, flimie! A tam? — wykrzyknął, wskazując ręką na załamanie parkanu, a później na pobliską brzezinkę.

— To pewnie...

— Samochody, reflektory, frajerze, a ty chcesz targać się o dziwkę?

— Bo drefisz! — zawołałem, zajeżdżając mu bykiem pod brodę. — Bo drygasz, gówniarzu, bo strach cię obleciał. Gówno mnie obchodzą twoje pancerki i samochody! — krzyczałem. — Bij się ze mną, i to zaraz! Na noże!

Mówiąc to, wyciągnąłem z kieszeni skórzaną pochewkę, ale on cofnął się szybko i zawołał:

— Zwariowałeś? W takiej chwili? Czy wiesz, że za cmentarną bramą zadekowano dwa oddziały konnej i cztery piechoty glin z nadzianymi widelcami?

Ale ja podskakiwałem dalej, korzystając z okazji popisania się swoim chojractwem.

— Mógłbym ci tym kindżałem brzuch rozharatać i flaki wypruć lub podziurawić cię jak sito, tchórzu parszywy! Ale mam litość i wstręt do takich jak ty śmierdzieli! — krzyczałem, błyskając mu ostrzem pod oczami.

Sądziłem, że byk się cofnie, zblednie, że padnie na kolana i zacznie skamlać. Ale on stał w miejscu, uśmiechając się ironicznie.

— Józek, schowaj kosę. Nie podskakuj. Nastaw słuchy i uważaj. — Spojrzałem mu w oczy i przerażony jego zimnym spokojem wepchnąłem nóż w pochewkę i nastawiłem ucha. Z traktu zarzewskiego, niby perkot gotującej się lawy, ryk wzburzonego morza, szum zwichrzonego boru...

— To nasi idą — powiedział Komoda. — A z nami Widzew, Bałuty, Chojny, Szlezyng. Moja matka, twój stary. Wszyscy głodni i strajkujący.

Patrzyłem na niego osłupiały, a on dalej:

— Będzie masakra, zobaczysz. Ale wierzę w ciebie, żeś chojrak i kosiarz i nie zdrefisz, gdy przyjdzie do chłastaniny. Bo oni nie będą się z nami cackać — zaakcentował Komoda.

— Jak to, z nami? — wyjąkałem przerażony. Ale Komoda przycisnął mi czaszkę łapą ciężką jak kłoda, więc przykucnąłem za krzakiem.

— Tu najbezpieczniej — powiedział. — Stąd widać całą drogę i do chałup blisko. I stąd w razie czego skoczymy z pomocą, uważasz? A teraz słuchaj i patrz.

Spoglądałem na trakt, a serce waliło mi jak młotem. Szum wzrastał, a czarna wijąca się smuga stawała się coraz wyraźniejsza. Wreszcie musnęła mi ucho pieśń Czerwony Sztandar, a na czarnym ruchomym tle rozpoznałem niby trzepoczącego się gołąbka — białą trumnę. Trumnę z zastrzeloną robotnicą. Pieśń potężniała. Tłum rósł w oczach.

— Popatrz, ile sztandarów! — szepnął Komoda.

— Co za potęga! — odpowiedziałem, wpatrując się w nieprzejrzane, groźne tłumy, zbliżające się powoli pod cmentarne mury.

W gęstniejącym mroku dalsza akcja rozegrała się w niesamowitym tempie. Najpierw od czołówki pochodu oderwała się mała grupa ludzi z trumną, wieńcami i sztandarami, kierując się w stronę cmentarnej bramy. Tych wpuszczono. Po chwili ruszyła druga grupa, licząca około tysiąca osób. I tych wpuszczono. Pozostali, stojąc na trakcie, śpiewali pieśni rewolucyjne i wznosili okrzyki, starając się tu i ówdzie pojedynczo, łakami, przedostać się za mury cmentarza, gdzie zapowiedziano masówkę. Ale po chwili zaroiło się już na łąkach i polach, a spoza cmentarnego muru wzleciały w niebo gromkie okrzyki. Jeden, drugi, dziesiąty. A później jak alarmowy dzwon zagrzmiała Międzynarodówka i huknęły wystrzały.

Patrzyliśmy, jak w rozwalonej bramie cmentarnej zakotłował się przerażony tłum, popędzany szarżującą konnicą. Jak z pobliskiej brzezinki i załomów muru ruszyły na pomoc turkoczące pancerki, wypluwając dla postrachu świecące smugi serii pocisków i jak wreszcie wyszły z ukrycia ciężarówki z reflektorami.

Zaczęło się na całego. Więc Komoda szarpnął mnie za rękę i wskoczyliśmy w tłum, wprost na konnego, wymachującego szablą.

— Rwij cugle! — krzyknął Felek. Szarpnąłem rzemienie. Bydlę podskoczyło, a Komoda, chwyciwszy za but „kozaka", ściągnął go na ziemię jak laleczkę. Drugiego straciliśmy waląc w niego kamieniami. Za chwilę rwaliśmy w obłotki, gdzie szalała uzbrojona piechota. Po zagonach i łąkach, w oślepiającym świetle reflektorów, dziesiątki tysięcy ludzi, popędzanych konnicą, uciekało jak tropione zwierzęta.

Biegliśmy z Komodą przez wioskę wraz z rozpierzchłym tłumem. Raptem Komoda

Rys. MAGDA KAPUŚCIŃSKA

szarpnął mnie za rękaw. Przykucnęliśmy za płotem. Nadbiegał właśnie policjant, więc Felek podstawił mu nogę, a ten z wyciągniętym bagnetem okręcił się tylko i runął na ziemię.

Wyszarpnęliśmy mu karabin. Po chwili, przesadzając obłotki ogrodów, pruliśmy z oszalałym tłumem w czarne pola oświetlone błyskającymi co chwila reflektorami, by okrężną drogą dostać się jak najprędzej do miasta.

— Wyszmajśnij karabin, cholero, jak ja szablisko! — krzyknął Komoda, równając się ze mną.

W powietrzu błysnęło żelazo, furknęło, a my dalej z kopyta. Ciężko nam było skakać po świeżo zaoranych bruzdach, więc znalazłszy się już w pobliżu miasta, skierowaliśmy się na zarzewską drogę, gdzie, jak nam się wydawało, będziemy całkiem bezpieczni. Ale tutaj czekały już policyjne ciężarówki i mrowie uzbrojonych glin, z krzykiem ładujących manifestantów do podstawionych samochodów.

— Pokażcie łapy — rozkazał jakiś sierżant, świecąc nam w oczy latarką. Wyciągnęliśmy zabłocone dłonie. — Do samochodu! — krzyknął i trzasnął mnie w gębę, aż podskoczyłem.

W ciężarówce było ciemno i tłoczno. Śmierdziało potem, że aż strach. A kiedy wreszcie zaterkotał motor i kolumna ruszyła z miejsca, zawołałem:

— Felek?

— No co? — zachrypiał gdzieś Komoda.

— A co z Teresą?

— He, he! — rozległo się w podskakującej ciężarówce. — Nie bój się, pościć nie będzie!

— Idź do cholery! — zakląłem i nagle przypomniałem sobie urywek pieśni do świętej Teresy: — „... byśmy wśród trosk, wśród życia burz, kroczyli tam, gdzie szczęścia zdrój, gdzie wieńczy Bóg, wytrwały bój".

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

WAWRZYNY I CYPRYSY...

Najnowszy utwór Jerzego Zawieyskiego, „Wawrzyny i cyprysy", zaskakuje swoją odrębnością nie tylko na tle jego dotychczasowej twórczości, tak przecież rodzajowo rozmaitej – dramat, powieść, opowiadania, w tym także opowiadania medytacyjne, eseje, rozważania moralno – filozoficzne, proza poetycka, fragmenty dziennika. Zaskakuje także na tle współczesnej literatury, chociaż różnorodnym tendencjom jej poetyki zdaje się zawdzięczać swój kształt.

Bo nawet to, co z pozoru włącza ten utwór w wielką tradycję dawnej literatury, a zwłaszcza polskiej literatury – historia jako tkanka tematyczna – uległo tu ujęciu zgodnemu z tendencjami nowoczesnymi. W utworze idzie nie tyle o prezentację pewnego odcinka historii, ile o rozważenie jego sensu we współczesnej świadomości społecznej, jego w niej miejsca i roli. Niemal chciałoby się przywołać tutaj poglądy Eliota i nie tylko Eliota, na wieczystą teraźniejszość przeszłości, na synchronię w świadomości społecznej tego co było, z tym, co jest, na procesy w świadomości wywołane ich symbiozą.

Historia, której dotyczy utwór Zawieyskiego to nie byle szmat polskiej i niepolskiej historii; w jej centrum znajdują się czasy od powstania listopadowego po powstanie styczniowe, ale z antecedensami które sięgają w wiek XVIII i z przedłużeniami aż po ostatnie dziesiątki XIX wieku. Sprawą jednak, która wyrywa się na plan pierwszy są losy mickiewiczowskiego Legionu i jego rozbitków, tych którzy przez całe lata, w coraz zmniejszających się grupach, w krajach różnych zrywali się przy każdej historycznej okazji, by walczyć „za wolność naszą i waszą", trwając w tułactwie, poniewierce, głodzie. Patos tej sprawy i jej nędza, wawrzyny i cyprysy, szczególnie prowokują do wyniesienia ponad samo przedstawienie i opis faktów – problemu historii, jej granic i charakteru, jej sensu i wartości w społecznej świadomości. Dwie zwłaszcza „płaszczyzny" świadomości muszą tu pociągnąć myśliciela, jedną z nich jest „płaszczyzna" świadomości uwikłanego w zdarzenia ich uczestnika, który rozważa czy li jest on tylko wykładnikiem sił historycznych, czy też ich źródłem i współtwórcą, i gdzie w jego losach przebiega granica pomiędzy tym, co jest historią, a tym co nią nie jest; druga – to „płaszczyzna" świadomości dzisiejszego człowieka, który chcąc uczciwie ją zważyć rozmyśla nad jej źródłami i pyta, jakie ta karta historyczna wniosła w nią trwałe wartości, czy go dotąd zobowiązuje i jak zobowiązuje.

Jerzy Zawieyski wprowadził w swój utwór obie te „płaszczyzny" świadomości, oba te punkty widzenia z właściwą każdemu z nich problematyką. Rzecz zatem w utworze toczy się na dwóch płaszczyznach. Na każdej z nich jednak problemy pozostają otwarte, opatrzone nie jakimś ostatecznym rozstrzygnięciem, ale znakiem zapytania domagającym się od czytelnika twórczego poszukiwania odpowiedzi, zgodnej z wiedzą i sumieniem. I ten rys utworu Jerzego Zawieyskiego harmonizuje z tendencjami współczesnej literatury, wciągającej odbiorcę niepokojącymi pytaniami w głąb jakiejś doniosłej problematyki i w głąb samego siebie.

Jakżeż jednak w utworze zostały literacko wcielone te dwie „płaszczyzny" te dwa punkty widzenia?

Sądzimy, że one to zadecydowały o specyfice indywidualnej struktury utworu opartej na dwóch rodzajowych strukturach. Są to struktury sobie nie pokrewne, zdecydowanie różne, ale kunsztem autora przymuszone do współistnienia w jednym utworze i do wspólnego organizowania sfery jego myśli i jego kształtu. W każdej z nich rej wiedzie inny podmiot mówiący, ostro, jak domagają się ideowo-myślowe założenia, wyeksponowany. Jedna z tych rodzajowych struktur – to esej, druga – to jakaś szczególna odmiana „vie romancée", która można by określić jako „vie romancée epoki". Tutaj podmiotem mówiącym, a raczej snującym poprzez cały — w zasadzie — utwór swój monolog wewnętrzny, jest autentyczna, acz mało znana historykom postać: Aleksander Izenszmid de Milbitz. Tyle zaledwie o nim wiadomo że w powstaniu listopadowym dowodził jako podpułkownik kawalerią wiłkomirską, że otrzymał „Virtuti Militari", że po pobycie w Paryżu włączył się w dzieje polskiego żołnierza we Włoszech. Jemu to każe autor zastanawiać się u schyłku długiego życia nad opisaniem historii, w której uczestniczył, i poddawać się wątpliwościom: "Co jest historią? Co nią nie jest? Czy to, co ogarnia ludzi i wciąga ich w procesy wydarzeń? Czy wydarzenia wydarte z ludzkich losów, oddzielone od nich, same w sobie istniejące jako siły niezależne, obojętne na to co sobie myśli i co przeżywa człowiek porwany przez nie z dobrej woli lub wbrew swojej woli?" Tych pytań nie potrafił Milbitz rozstrzygnąć, toteż nie zdobył się na dokumentację historycznych zdarzeń, których był – nieraz wbrew swojej trzeźwości, ale w imię lojalności – uczestnikiem. Ale cofając się ku nim wspomnieniem oddawał prym raczej ludziom, uwikłanym w dzieje epoki, niż samym faktom. Stąd w swym retro-

Karol Hiller (1891—1939), litografia — „Tragarz".

ANTONI SZRAM

EKSHUMACJA TRADYCJI

(kartki z wystawy)

Nie mam wątpliwości, że doroczna 20 Wystawa Okręgowa ZPAP nie zawiodła widzów. I w ogóle nie podejmowałbym żadnej dyskusji, po prostu napisałbym recenzję, gdyby nie pytanie postawione przez Jana Huszczę: „A MY?" w „Odgłosach" nr 13 (375).

O sytuacji politycznej i gospodarczej Łodzi napisano dużo. A pogląd, że Łódź to „czerwony Manchester", „wielka osada fabryczna o funkcjach jednostronnie produkcyjnych" — to nieledwie slogan. Mnożony i powielany wyrabia nieco fałszywy pogląd o życiu artystycznym miasta, o którym pisze się, że „szerniało, a barwa jego trudna jest do określenia". Być może. Jednak należy wystrzegać się bezkrytycznego przyjmowania trwałych prawd o łódzkiej sztuce. To często mumifikuje te prawdy.

Byłoby dużym uproszczeniem wysuwać znany pogląd, że Łodzi brak środowisk twórczych z tradycją i inicjatywą. Prawda, że sąsiedztwo Warszawy komplikowało sytuację i dzisiaj blokuje nie jako linię twórczą wiodącą do sławy miasta. Nie da się ukryć, że owa „bliskość" to dla łodzian jeden z największych dramatów, jaki w tej kwestii przeżywają. Ciążenie pobliskiej stolicy i tak zwana „wędrówka ludów" (z bardziej znanych plastyków, którzy opuścili Łódź — wymieńmy: Władysława Daszewskiego, Felicjana Kowarskiego, Tadeusza Cieślewskiego, Eryka Lipińskiego, Jerzego Zarubę, Ignacego Witza, Jerzego Nowosielskiego, Mieczysława Piotrowskiego, Henryka Tomaszewskiego i kilkudziesięciu innych), to zjawisko z wielu względów niezdrowe. Ma wszakże jedną cechę interesującą: sprawia, że w tym ustawicznym ruchu możemy doszukać się nowych sukcesów, nowych point, nowych sensów, nowych ludzi i podwójnych znaczeń tego procesu. Łódź nie ulega żadnym wpływom, żadnym modom, nie ulega niebezpiecznej stabilizacji. Stara się znaleźć swoje własne oblicze, jest dobrą szkołą dla wielu wybitnych ludzi. To laboratorium sztuki rewolucyjnej. Miejsce intensywnej twórczości Juliana Tuwima, Mieczysława Jastruna, Stefana Żółkiewskiego, Adolfa Rudnickiego, Leona Schillera, Kazimierza Dejmka, jednocześnie — Karola Hillera, Władysława Strzemińskiego, Katarzyny Kobro, Stefana Wegnera, Konstantego Mackiewicza i wielu, wielu innych. Czy to nic nie znaczy?

I jeszcze inny flirt z historią. Przypomnijmy sobie organizację Muzeum Sztuki, Międzynarodowej Kolekcji Sztuki, założenie oddziału Instytutu Propagandy Sztuki, fundację Nagrody Literackiej i Artystycznej m. Łodzi (której laureatami byli m. in. Wł. Strzemiński i T. Kulisiewicz), Scenę Robotniczą Witolda Wandurskiego, działalność Przecława Smolika, powstanie pierwszej po wojnie wytwórni filmowej, itd., itd. Łódź to dżungla i jednocześnie katalizator reakcji termo-artystycznych w kraju. Tradycje w Łodzi są, istnieją. Ci, którzy przeczą — albo ich nie znają, albo nie potrafią nazwać, lub nie rozumieją.

Po świecie — jak w burleskach — snują się ignoranci, krytycy zawsze gotowi coś lekceważyć. Ich to Marian Piechal słusznie zaatakował ogłaszając wykład, opatrzony zresztą całym arsenałem argumentów („Odgłosy" nr 8 370). Lecz czy wystarczy tylko zastrzec się i głosić pogląd, że „żywym należy się życzliwość, a zmarłym prawda", poprzestając na lekcji historii? Z Wystawy Okręgowej wychodziliśmy źli i zobojętniali. Gromadzone tam dzieła, niektóre frapujące artystycznie (L. Kunki, T. Jaśkiewicza, K. Liberskiej, M. Jaeschke, Z. Głowackiego i innych) — przez fatalne oświetlenie męczą wydumanymi efektami, gubią swój artyzm, trafiają niecelnie, znów myl. Żaden obraz, żadne dzieło plastyczne nie znosi braków natury ekspozycyjnej. A łódzkie salony BWA — spadek pokoleń, nie mogą stanowić powodu do dumy, że są istotnym czynnikiem propagandy sztuki, że upowszechniają kulturę plastyczną dzisiejszej Łodzi. Wydaje się raczej, że korzystniej byłoby zaliczyć do historii przybytek sztuki w parku Sienkiewicza czyniąc zeń filię Muzeum Sztuki, miejsce stałej ekspozycji atrakcyjnego zestawu (np. grupy „a. r."). Ten pierwszy w Łodzi poważny salon wystawowy z prawdziwego zdarzenia, to już zabytek, pomnik. Miałby jednak wyjątkowe znaczenie przypominając miastu jego postępowe tradycje w sztuce. Potrzeby nowoczesnego pawilonu wystawowego nie muszę tu chyba argumentować.

Jeśli coś jeszcze świadczy o naszym ubóstwie, to — moim zdaniem — również plastyczna strona jedynego w Łodzi tygodnika kulturalnego. W takiej szacie graficznej gazeta nie może budzić zaufania czytelników A. Sandauera i J. Przybosia. Ba... brak działu plastyki, więc brak rzeczowej selekcji nadsyłanych materiałów. W ankiecie „Co sądzisz o „Odgłosach?" w „Odgłosach" nr 7 (369) brak hasła: PLASTYKA. Pusta rubryka w powyższej sprawie milczy. Kto ma więc przemówić?...

I dalej. Jeżeli już coś kwestionować, to na pewno zupełny brak współpracy pomiędzy związkami twórczymi. Pytam: który z kolegów ze Związku Literatów tak naprawdę gorliwie przychodzi na wernisaże kolegów ze Związku Polskich Artystów Plastyków? Sam Konstanty Mackiewicz w Klubie Dziennikarza problemu nie rozwiąże, nie spopularyzuje, choć dyskutant uroczy. Z drugiej strony, Koledzy Literaci nie wygrają „w pojedynkę". walki o awans kulturalny łódzkiego ośrodka artystycznego. Bo skąd? Brak wymiany doświadczeń, szlachetnej rywalizacji, współpracy i tysiąca innych rzeczy pożytecznych dla propagandy, które dałyby piękne rezultaty, gdyby tylko realizowane były wspólnie. Ta konieczność zdeterminowana jest wymogami nowoczesności. Współtwórcami łódzkiego życia artystycznego jesteśmy wszyscy. W mechanizmie współpracy widzę więc wartości bardziej trwałe, zagadnienie pierwszoplanowe.

Chyba zdajemy sobie sprawę, że Łódź oglądana przez pojedynczą, lichą szybkę, daje obraz mocno zdeformowany. Tutaj też należy szukać źródła nieporozumień. Ukazałem tylko cząstkę problemów, ale może ona również służyć czytelnikowi w dyskusji.

A tymczasem fakt pozostaje faktem; interesująca przecież i oryginalna sztuka łódzka może być prezentowana wszędzie, tylko trzeba nadać jej odpowiednią oprawę reklamową. Uwierzytelnić jej rangę. Niedługo, bo w sierpniu, będzie okazja do kanonady. Plener Skierniewicki. Dobre warunki, aby pokusić się o nawiązanie ściślejszej współpracy, o propozycje na przyszłość, o dyskusje nad zorganizowaniem imprezy kulturalnej na skalę naprawdę ogólnopolską. Zapraszamy na plener literatów i dziennikarzy. Wolne miejsca czekają. Łódź i województwo czeka.

LESZEK ST. RUDNICKI

W BAŚNIOWYM KRĘGU

Nieco smutny wydaje się fakt, że znaczna większość wybitniejszych inscenizacji w teatrach łódzkich jest dziełem ludzi stosunkowo luźno z naszym miastem związanych. Wypada mieć nadzieję, że Jerzy Grzegorzewski, związany z Łodzią latami studiów i zachęcony udanym debiutem, zadomowi się u nas na dobre. Że zaś debiut ten był udany, świadczy wyraźnie nadzwyczaj przychylne przyjęcie spektaklu przez publiczność i krytykę. Trzeba przy tym zaznaczyć, że fakt podjęcia się inscenizacji Brechta [1]) jako pierwszej samodzielnej pracy, był przedsięwzięciem nie tylko trudnym i odpowiedzialnym, ale i ryzykownym.

„Kaukaskie koło kredowe", ostatni z brechtowskich dramatów, wystawiane było już nie raz, z rozmaitym zresztą rezultatem. Grzegorzewski przystępując do pracy, poczynił pewne, dość istotne zmiany. W pewnym stopniu odstąpił od stworzonych przez Brechta kanonów teatru epickiego, teatru w teatrze, jednak pozostając im wierny w wielu szczegółach. Odrzucił mianowicie cały prolog, poruszający sprawę sporu dwóch kołchozów o prawa do doliny górskiej. Pozostały jedynie czysto baśniowe wątki dziejów Gruszy i Azdaka, ukoronowane sporem o małego Miszę i salomonowym sądem, próba kredowego koła. Pozostała baśń z morałem. Epicki moralitet o nadzwyczaj doniosłej, i co najważniejsze, głęboko humanitarnej wymowie. Także i tutaj, w samym już tekście, zastosował reżyser pewne cięcia — czyniąc akcję bardziej klarowną — i czynność najważniejsza — przeniósł dzieje Azdaka także do części pierwszej. Przeplótł ze sobą dwa wątki tematyczne, spięte finałem.

Poprzez wszystkie te zmiany, a przede wszystkim przez odrzucenie prologu, Grzegorzewski jak gdyby odciążył sztukę. Pozbawił ją swoistego balastu. Co prawda, przy tym zabiegu straciła swoje oparcie w teraźniejszości, nie przestała jednak być swego rodzaju wykładnią moralną. Więcej! Zda się, poszerzyła zakres swego działania, a zyskała lekkość i swadę właściwą jedynie baśni.

Równocześnie, inscenizator pozostał wierny brechtowskiej idei teatru epickiego. Akcja sztuki zbudowana jest z wielu, kolejno po sobie następujących scenek, powiązanych komentarzem, niejako prowadzącego spektakl Pieśniarza i słynnych już songów. I tutaj właśnie koncepcja reżysera była bardzo, powiedziałbym młodzieńcza, świeża. Rozwiązał on sprawę, przez ukazanie Pieśniarza jako młodego człowieka ubranego w obszerny, czarny golf. Siedząc przez cały czas na proscenium, w odpowiednich momentach włączając się do akcji, niejako panował nad nią, nadawał jej kierunek. Zaraz, zaraz! Skąd my to znamy?... Oczywiście. Teatr studencki. Było to bardzo szczęśliwe, choć trzeba przyznać, aktorsko trudne i męczące zadanie. Andrzej Głoskowski wywiązał się jednak z niego ku ogólnemu zadowoleniu publiczności.

Każde zjawisko teatralne, ma jak gdyby dwie strony. Literacką i techniczną, aktorską. Muszę przyznać, że dość rzadko możemy w Łodzi oglądać spektakle o tak wyrównanym poziomie. Trudne zadanie stanęło przed odtwórcami dwóch czołowych ról: Gruszy (E. Mirowska) i Azdaka (Józef Zbiróg). Grusza, wiejska dziewczyna, powodowana uczuciem i cała pasją kobiecości włożonymi w wychowanie Miszy, stworzyła postać żywą w każdym szczególe i poruszającą do głębi. Z kolei Azdak, zapijaczony prostak, obdarzony jednak iskrą inteligencji i instynktownym, pierwotnym niemal wyczuciem sprawiedliwości, dobra i zła, w wykonaniu J. Zbiroga był świetny. Rozwinął całą gamę podsuniętych przez Brechta środków i możliwości. Jest z brechtowska rubaszny i dosadny. Bezczelny kpiarz i tchórzem podszyty obibok jednocześnie, a jednak głęboko ludzki, po ludzku sprawiedliwy sędzia i w tej swojej ludzkości wstrząsający.

Jerzy Grzegorzewski, poza inscenizacja i reżyserią, zajął się także stroną plastyczną spektaklu. Scenografia jego była krańcowo odmienna od dotychczas w „Kaukaskim kole" stosowanych. Miejsce orientalnej, pyszniącej się tysiącem barw scenerii zajęła prosta, surowa przestrzeń, poprzedzielana jedynie czymś w rodzaju zmurszałych belek, rozmieszczonych poziomo i pionowo akcentów. W zestawieniu z również nieco uproszczonymi kostiumami i doskonałym podkładem muzycznym Paula Dessau, otrzymaliśmy harmonijną całość, stanowiącą nie tylko miłe oparcie dla oka, ale i odpowiednią podbudowę, dla rozgrywających się aktualnie wydarzeń.

Jak o wszystkich, tak i o tym spektaklu można by jeszcze mówić wiele. Wiele też zostało w dotychczas opublikowanych recenzjach powiedziane. Ze swojej strony chciałbym raz jeszcze podkreślić, że otrzymaliśmy tutaj, zupełnie nieoczekiwanie, nowe oblicze znanego już dramatu brechtowskiego. Nowy sposób podejścia do zdawało się, obrobionego już dokładnie kanonu teatralnego. Tym bardziej cieszy, że spektakl ten wyszedł spod ręki młodego, a już obiecującego reżysera. Cieszy również jako owoc zespołowej pracy wykonawców.

[1]) P. T. im. S. Jaracza — Bertolt Brecht — „Kaukaskie koło kredowe" — Insc., reżyseria i scenogr.: Jerzy Grzegorzewski — przekł. Wł. Lewik — muz. Paul Dessau.

---

spektywnym rzucie wywołał tych ludzi „całą galerię, cały ich legion. Więc najbliżsi w Kuranach, później ci z wojska, ci z wygnania i tułactwa, obcy — swoi: Lamennais i de Guérin, świat z La Chenaie i rozbawiony świat dandysów — a dalej swoi — obcy: więc wszyscy z Mickiewiczem na czele. A na koniec: Rzym i Grecja, ale wtedy obcość znikła, pokochał ich, zwłaszcza tych z polskiej szosy, prowadzącej do Heraklei". Losy własne wśród tych swoich i obcych — w podwójnym znaczeniu tych słów — kształtują obraz epoki; ale, co się w niej liczy dla historii? Czy nie to tylko „co się zrobiło, i co było ważne dla innych?"

Ci inni..., a w tym i ci inni z przyszłości — dzisiejszej. Ich punkt widzenia — i ich rozterkę — reprezentuje drugi podmiot mówiący w utworze: podmiot mówiący eseju, narzucający jak zawsze w eseju, sugestię swej identyczności z autorem. Jemu to przypada zadumanie nad epoką wawrzynów i cyprysów, nad epoką rewolucyjnych wstrząsów w Europie, nad epoką szaleńczego ukochania wolności, nad epoką heroicznych porywów polskich, ale także nad epoką romantycznych gestów historii. Zadumanie — bez wyraźnej odpowiedzi. Bo jakżeż — w imię realizmu — podzielić ex post wiarę Mickiewicza w szansę historyczne Legionu, bo jakżeż nie policzyć grobów, tych na terenie samej Polski, tych na terenie Drugiej Polski, emigracyjnej, i tych na terenie Trzeciej Polski, kreowanej przez Paskiewicza na Syberii? Ale czyż droga ku naszej niepodległości, a także ku naszej dzisiejszej świadomości narodowej nie wiodła również poprzez wielkość tych dawnych porywów, acz przypieczętowanych klęską, i poprzez ową szosę, prowadzącą do Heraklei, wybudowaną rękami polskich tułaczy w łachmanach legionowego munduru? Czy to, co zakrawa na ironię dziejów, iż powiedziano o Milbitzu, że „dobrze zasłużył się Włochom, swej przybranej Ojczyźnie, i że walczył tutaj „per la nostra e la vostra libertà" — nie było także wkładem tamtej epoki w późniejszą odzyskaną niepodległość? I w dumną świadomość narodową dzisiejszego Polaka? I w wiedzę świata o Polakach?

Tak więc mamy w utworze Jerzego Zawieyskiego dwa podmioty mówiące — i to osadzone nie na jednym planie (jak np. u Henry James'a), lecz na dwóch różnych planach — oraz dwie rodzajowe struktury którymi rządzą te dwa podmioty. Jesteśmy tym samym na gruncie nowoczesnej poetyki, a to tym wyraźniej, iż jedną z tych struktur jest esej, który we współczesnej literaturze przeżywa swoją drugą młodość i wykazuje w niej dużą agresywność wobec form innych. Ponadto wybija piętno warsztatowej nowoczesności i to, że owa druga rodzajowa struktura „vie romancée epoki", przekazana została poprzez monolog wewnętrzny (względnie mowę zależną) jednej postaci, i to postaci uczestnika ewokowanych fabułą zdarzeń. Pytaniem, które wprost się narzuca wobec tak skomplikowanego układu, jest pytanie o sposób w jaki „współżyją" obie te struktury w jednym utworze i jakie to pociąga konsekwencje dla jego indywidualnego oblicza. Rzecz tym bardziej intrygująca, iż — jak wiemy — są one z gruntu tak różne, że aż przeciwstawne, niby ogień i woda.

Otóż niewątpliwie struktura eseju dominuje tutaj nad strukturą „vie romancée epoki"; nie w tym dziwnego, skoro ona to właśnie jest nosicielką ideowej funkcji utworu. Dominacja tym się wyraża, iż nieraz — wbrew, zdawałoby się, założeniom — podmiot mówiący eseju rządzi w sposób widoczny postacią monologizującą. Ingeruje on ponadto w sam bieg rozważań tej postaci, włączając w ich tok wypowiedzi z pozycji własnych, jawnie monologowi obce. Zawierają one informacje nieprawdopodobne w medytacjach Milbitza, bo bądź dotyczące faktów wybiegających poza czas sytuacji monologu, bądź oczywiście niedostępnych monologizującemu. Postać ich jest różna; czasem w grę wchodzi cytat (np. z listu Krasińskiego do Cieszkowskiego), czasem notatka bibliograficzna (np. ze znacznie późniejszej monografii Władysława Mickiewicza o ojcu), czasem nawet omówienie utworu z późniejszej epoki (**Legionu** Wyspiańskiego). Ingerencje te wiążą się ze sobą w planie eseju, uderzając na tle innych jego treści krnąbrną swobodą swoich form, co przypomina metodę prozy Cendrars'a. Jako wtręty w monolog postaci — tną go one ostro, niemal brutalnie; ale czyż nie jest artystycznie celowy taki zabieg, skoro idzie o zapewnienie prymatu w utworze planowi eseju?

Bo z natury rzeczy plan „vie romancée epoki" kompetuje w nim o pierwsze miejsce urokliwą barwnością swej fabuły. A barwność ta jest konieczna dla wciągnięcia czytelnika w głąb epoki. Już pierwszy akord fabuły uderza doborem barwnych elementów, i to o silnym napięciu dramatycznym.

....Oto Milbitz czeka któregoś z pierwszych dni stycznia 1856 w swojej kwaterze w Salonikach — jej okno wychodzi na targowisko rybne — na swoich towarzyszy broni aby udać się z nimi do złamanego śmiercią Mickiewicza Sadyka Paszy. Z tej samej kwatery wyruszył był on z nimi parę dni temu by na przygodnym statku greckim spotkać się z parowcem „Eufrat", wiozącym trumnę Mickiewicza. Statki się nie spotkały; nie doszło do oddania należnych Naczelnikowi honorów wojskowych; nie udał się ów gest niby z **Dziadów**, ów symbol nowej próby „zgody narodowej". A teraz osacza Milbitza furia wspomnień. Stymuluje je cały kufer papierów po Dziekońskim, tych z kampanii włoskiej, węgierskiej, a wyzwalają je otrzymany w tej chwili list od Wacława Łuszczewskiego, ojca „wieszczki" Deotymy. Dowiaduje się z niego Milbitz o przypadkowej, iście dziejowo ironicznej, śmierci w Warszawie Jana Dyrdy, prostego chłopa i listopadowego żołnierza, towarzysza całego życia i przyjaciela, którego on sam wysłał był z tejże kwatery we wrześniu jako emisariusza do kraju. Ze straszliwą odwagą trzeźwości konfrontuje Milbitz „małą śmierć" Dyrdy z „wielką śmiercią" Mickiewicza — i zygzakami rwanych introspekcji cofa się krok za krokiem w historię losów własnych, splecionych nieodłącznie z losami „polskiej Sprawy". Dotyka przy tym, niby rozpalonym żelazem, ran życia osobistego — żona, francuska aktoreczka, śmierć córeczki, Manuelli — a rany te krwawią żywą krwią.

Barwna tkanka fabuły składa się zarówno z autentycznych faktów, jak z domysłów na ich marginesie (np. rozmowa Milbitza z królem Karolem Albertem) i z literackich fikcji. Domysły i fikcje są tak mocno osadzone w kolorycie epoki, że czytelnik nieraz pyta się siebie, czy nie jest to aby fakt historyczny, który umknął jego wiedzy. Symbioza autentyku z domysłem i fikcją wyraża się w ich wzajemnym działaniu na siebie. Nie tylko pod naporem autentyku zyskuje prawdopodobieństwo domysł i fikcja; także i one wpływają na autentyk, niuansując go, nadając mu niekiedy poblask symbolu. Ileż w utworze przydaje wyrazu tragicznej postaci Lamennais'go jej stylizacja — wbrew autentycznym danym — chłopska; owe, wielokrotnie ewokowane, Lamennais'go chłopskie „ręce za lud walczące" „z Bogiem i mimo Boga", z uporem, aż do zatracenia — czy nie narzucają nam wizji zbuntowanej przeciw niebu i światu grudy ziemi, i czyż nie charakteryzują buntownika dosadniej, niż ów jego autentyczny gest z jakim w 1834 roku wyzbył się szlacheckiej formy swego nazwiska?

„Wawrzyny i cyprysy" — to utwór bardzo niezwykły, tak jako obraz epoki i obrachunek z nią dzisiejszego sumienia, jak i jako artystyczny twór dużego kunsztu przy pozorach naiwnej prostoty. Odnosi się wrażenie, iż otwiera on nowy etap w twórczości Jerzego Zawieyskiego.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

KILKA UWAG NA MARGINESIE PEWNYCH WIERSZY

Gdybyśmy chcieli poszukiwać tradycji czy wzoru dla każdego nowo napisanego wiersza, znaleźlibyśmy się w sytuacji filologa badającego utwory Homera lub antropologa snującego rozważania nad obrzędami rytualnymi naszych praprzodków. Okazałoby się, że nie ma rzeczy, której by już nie napisano, nie powiedziano, nie pomyślano. Niektórzy nazywają to wędrówką archetypów lub metamorfozą mitów. Poeci — przynajmniej ci, którzy na to miano zasługują — wiedzą o tym aż nadto dobrze. Ta ich wiedza jest konsekwencją własnej świadomości o zależności od tradycji, świadomości o słabości języka, w którym chce się wyrazić to, co można w pewnym stopniu metaforycznie już dzisiaj nazwać „doznaniem lirycznym"; „doznaniem przedmiotu". Obok tej destrukcyjnej samoświadomości istnieje jednak jeszcze nadzieja, która sprawia, że pisanie jest możliwe. Jest to nadzieja na znalezienie słowa-klucza zdolnego otworzyć — lub chociażby wskazać — owe cienniutkie przepierzenie pomiędzy rzeczą a myślą o rzeczy, pomiędzy słowem a pojęciem o słowie, znaczeniem a „znaczeniem znaczenia"; pomiędzy „physis" a „metaphysis". Nadziei tej podporządkowane były zawsze narzędzia i środki poetyckiej wypowiedzi: ona jest matką metafory, symbolu, metonimii, elipsy itp. Nadzieja ta różnicuje poetów: sprawia, że jedni z nich są „wiecznymi buntownikami", a drudzy — „wiecznymi stylizatorami".

Zarówno tak pojęta stylizacja jak i nowatorstwo — chociaż innymi drogami — w zasadzie odwołują się do tego samego (przedmioty, mity, idee, archetypy) tym bardziej, że obydwie te odmiany pisarstwa skazane są na operacje w świecie języka.

Igor Sikirycki w swoim drugim zbiorku poezji[1]) odwołał się głównie do tradycji. Jest rzeczą usprawiedliwiającą dla autora, że na tomik, o którym mowa, złożyły się wiersze chyba z okresu szesnastu lat, które dzielą „Nocny połów", od poprzednio wydanego zbiorku poetyckiego tego autora. W tym długim okresie Sikirycki poświęcił się przede wszystkim pisaniu utworów dla dzieci a obok tego twórczości satyrycznej oraz przekładowej.

„Nocny połów" jest poezją, którą zwykliśmy nazywać tradycyjną. Możemy się o tym przekonać przeczytawszy kilka choćby wybranych utworów z tego tomiku. Zresztą chyba sam autor nie chce nam imponować ani eksperymentami formalnymi; ani nowatorstwem treściowym. Zupełnie świadomie odwołuje się on do tych, którzy patronowali powstaniu jego utworów: do Kochanowskiego, Klonowica, Broniewskiego, Tuwima... Już początkowy czterowiersz przywodzi na myśl piękne słowa Mickiewicza o „pieśni — arce przymierza między dawnymi a nowymi laty":

„Mowo ojczysta, mowo serdeczna,
Ty jesteś żywa, ty jesteś wieczna.
Gdy płomień dziejów karty ksiąg spali,
Ty, mowo święta, myśli ocalisz".

Czytając „Nocny połów" znajdziemy się w atmosferze przekazanej nam na przestrzeni wieków przez poezję polską z jej miłością do ziemi ojczystej i do jej mieszkańców, do najdrobniejszych przejawów życia ludzkiego, które poprzez doznanie liryczne poety stają się źródłem, z którego rodzi się utwór poetycki. I chyba w tym świadomym nawiązaniu do bogatej tradycji poezji, w nawiązaniu będącym niewątpliwie celowym zamysłem poety, tkwi jakaś smutna rezygnacja, pogodzenie się z faktem, iż nil novi sub sole. Przy tego rodzaju postawie twórczej stylizacja staje się koniecznością i często przy tym ta rezygnacja wydaje się być siłą utworów poetyckich Sikiryckiego.

Igor Sikirycki w karykaturze Ibis-Gratkowskiego.

„Nocny połów" tak rozumiany staje się „połowem" poety tradycyjnych wzruszeń lirycznych, połowem, którego rezultat zabarwiony zostaje niejednokrotnie gorzką refleksją — tak jak ma to na przykład miejsce w najlepszym liryku omawianego zbioru pt. „Ziemia":

„Kiedy z otrutej głębi morza
Niewód ostatnią wyjmie rybę,
A w betonowym rezerwacie
Ostatnie zwierzę padnie,
Wtedy zostanie do zabicia
Tylko
Ziemia".

1) Igor Sikirycki: „Nocny połów", Łódź, 1966, Wydawnictwo Łódzkie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Stefan Żeromski — PRZEDWIOŚNIE. Czytelnik, cena zł 10.

Wiesław Jażdżyński — MIĘDZY PRAWDĄ A CHLEBEM, Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 16.

Henryk Panas — GRZESZNICY, Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 20.

W POSZUKIWANIU DROGI, LSW, cena zł 50.

Marian Gumowski — WSPOMNIENIA NUMIZMATYKA, WL, cena zł 16.

KRONIKA

KULTURA OBRAZKOWA

Kto regularnie przesiaduje przed małym ekranem, a w dodatku zagląda do kina i czyta tylko pisma ilustrowane, ten wedle określenia socjologów, znajduje się w kręgu kultury obrazkowej. Określenie to, jak każde na ogół określenie, można zaopatrywać w znak minus lub plus. Ja na wszelki wypadek od czasu do czasu wymykam się z tego kręgu, lubię sobie po prostu poczytać i niekoniecznie są to utwory beletrystyczne, lubię posłuchać radia. Radio ze względu na swoje trzy zakresy fal jest bezkonkurencyjne w dziedzinie informacji. Ale ma też i inne zalety: obraz dopowiada nam nasza wyobraźnia i niektóre spory, na przykład w wypadku arcydzieł literatury, wśród radiosłuchaczy nie mogą mieć miejsca: wygląd znanych postaci konstruujemy według potrzeb i skłonności naszej wyobraźni. Właściwie to radiu dzieje się u nas krzywda: omówienia jego programów należą do wyjątkowych wydarzeń. A przecież drzewiej inaczej, bracia, bywało! Inna rzecz, że przed wojną radio samo zabiegało o recenzje.

Nie tak dawno wysłuchałem wieczoru literacko-muzycznego poświęconego Młodej Polsce. Wyobraźnia dorabiała wnętrza, konstruowała wygląd postaci i sytuacje, swobodnie bujało się w czasie i przestrzeni, na co nie pozwalają najlepsze nawet dokrętki filmowe. Spędziłem miły wieczór, odzyskując przy tym poczucie, iż przy całym szacunku dla TV (tytuł bowiem tej rubryki nie pochodzi ode mnie) nie jestem niewolnikiem kultury obrazkowej. (Przypuszczam, że radio bardzo potrzebne jest dzieciom, które za często chyba przesiadują przy rodzinnych telewizorach!).

Muszę się też przyznać, że programy radiowe lepiej zaspokajają moje zainteresowania jako mieszkańca pewnego określonego regionu. Ale ta sprawa przy wysiłkach kierownictwa ŁOT jest chyba do załatwienia. Owszem, Łódź dość często bierze udział w ogólnopolskim programie telewizyjnym, ma duży dorobek w ramach telewizyjnego teatru, ale do innych audycji lubi sprowadzać gości z zewnątrz. Nie jestem przeciwko gościom, byłoby to sprzeczne z polskim poczuciem gościnności, jednak w tym wypadku może to oznaczać niewiarę w możliwości własnych środowisk twórczych i artystycznych.

Nie wiem dlaczego zlikwidowano nawet lokalne omawianie książek łódzkich, gdy z omawianiem twórczości pisarzy krakowskich czcigodny gród wchodzi do programu ogólnopolskiego. Nie widzi się w programie ogólnopolskim naszych poetów, rzadko, jak ostatnio z Januszem Kłosińskim, spotykamy się z naszymi aktorami.

17. IV. zmarł nagle w pełni sił twórczych Zenon Wasilewski, człowiek skromny i rzetelny, można powiedzieć, że niemal odludek, co wśród autentycznych twórców i dziś nieraz się zdarza. Należy się jego pamięci teleaudycja z Łodzi, długoletnia twórczość dostarcza bogatego materiału: rysunki satyryczne, filmy kukiełkowe, malarstwo. (Mój Boże, jeszcze na jakiś tydzień przed śmiercią rozmawialiśmy z nim na ulicy, spotykaliśmy się bowiem tylko przypadkowo, ale za to od czasów moskiewskich, dzielił się zamierzeniami malarskimi!)

Trzeba o tym porozmawiać kiedyś z red. Edwardem Szustrem, może czekają na nas jakieś lepsze wiadomości w tej sprawie. Tym bardziej, że nie wszystko co z Warszawy zasługuje na pochwałę. Nie wiem jak to się dzieje, że czasem pokazuje się pozycje wręcz nieudane lub niedonoszone, aczkolwiek wszyscy skądinąd wiemy, iż wszelakim przedsięwzięciom towarzysza u nas liczne oceny wstępne i dyskusje, każdej produkcji artystycznej czepiają się, jak pasażerowie tramwajów w godzinach szczytu, obfite grona tzw. rzeczoznawców.

Bardzo cenię pisarstwo Józefa Hena, jednak jego trzy filmiki z serii „Perły i dukaty" to mizerne humoreski. Nawet tak kapitalny, lejkinowski temat jak „nasi za granicą" nie został szczęśliwie wykorzystany...

Interesujący jest fakt, że Julian Tuwim, o ile mi wiadomo, nie napisał żadnej sztuki teatralnej, aczkolwiek udawały mu się adaptacje jak „Żołnierza królowej Madagaskaru", „Porwanie Sabinek". Odświeżał, nadawał rumieńców farsom i komediom muzycznym.

„Jadzia wdowa" w TV stanowiła udaną pozycję rozrywkową, po prostu bawiła, choć i aktorsko i wokalnie nie zawsze zasługiwała na poklask. Reżyser nie szukał nowych rozwiązań, rzecz podano tradycyjnie, przedstawiając nam galerię typów wielokrotnie powielanych, gierki dość obiegowe przy tego rodzaju okazjach. Chwilami zawodziła nawet tzw. synchronizacja wargowa jak w duecie Czyżewska — Łazuka.

Jesteśmy drażliwi na punkcie naszej nowoczesności, ale ignorujemy podstawowe jej warunki. W „Turnieju miast", która to imprezę lubię, nagle mieszkańcy Brzegu i Nysy okazali się jakałami. Imprezie sprzyjała pogoda, jeśli była taka jak w Łodzi, korowody z przebierańcami, piosenki wypadły nawet uroczyście, można powiedzieć, że millenialnie! A więc ad multos annos!

Jan Huszcza

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Zabieram głos jako członek Koła Młodych przy Łódzkim Oddziale Związku Literatów Polskich, odpowiadam na artykuł Konrada Frejdlicha „Różnie idąc" — o sytuacji w środowisku młodych poetów łódzkich zamieszczony w nr 12 (376) „Odgłosów".

Chciałbym poruszyć trzy sprawy przedstawione czytelnikom w nieprawdziwym świetle. Dziwna, z palca wyssana jest wiedza Frejdlicha o Kole Młodych. Frejdlich zarzuca nam, że jesteśmy „szkółką literacką". Otóż nie, nie i jeszcze raz nie! Prace Koła mają o wiele bogatszy program, są gruntowniej związane z życiem niż to sobie autor artykułu wykoncypował. Pewnie dyskutujemy, mówimy o własnych utworach i kłopotach warsztatowych ale jest to jedna z form naszej działalności. Członkowie naszego Koła mają na swoim koncie po kilka spotkań autorskich, są wśród nas nauczyciele, aktorzy, technicy, studenci i ludzie innych zawodów, znają oni problematykę życia współczesnego nie gorzej niż autor buńczucznego artykułu. Członkowie naszego Koła dzięki tej „szkółce" o której z przekąsem mówi Frejdlich a w której sam niedawno na tablicy rysikiem pisał (widać przydała mu się, przydała, bo teraz może kolegom stopnie czerwonym ołówkiem stawiać) powtarzam dzięki tej szkółce wydali 8 tomików poetyckich, a takie nazwiska, że wymienię te najbardziej znane jak: Janusz Królikowski, Roman Gorzelski, Jerzy Jarmołowski, Ziemowit Skibiński rokują chyba poważne i niezaprzeczalne nadzieje. Gdyby Frejdlich był rzeczywiście powodowany troską o Koło Młodych zasięgnąłby, że użyję trafnego spostrzeżenia mgr A. Postołowa wiadomości u źródła. A u źródła wiadomo, że nawiązaliśmy pożyteczny kontakt z wrocławskim Kołem Młodych, grupą naszego „zaplecza" prezentowała tam swoje teksty, wymieniła poglądy na szereg interesujących nas spraw, interesowała się formami współpracy młodych wrocławskich pisarzy z fabryką, z terenem. Młodzi pisarze Wrocławia czytali swoje utwory u nas. Tak Panie Redaktorze, młodzi pisarze nie boję się, ani nie wstydzę tego określenia, bo ostatecznie mogę jeszcze zrozumieć zdumienie Różewicza gdy stwierdza: (są młodzi poeci) znów są młodzi poeci (to jest wstrząsające) ale skąd u diabła ten administracyjno-gospodarczy ton u autora, który ze swoich zielonych lat nie wyrósł. Bo z drugiej strony jeżeli Frejdlich tak wszystko widzi trzeźwo (bez jednej kropli alkoholu), tak się przejmuje oderwaniem Koła Młodych od spraw doraźnych, współczesnych, to dlaczego pytam nie wie, że to między innymi Łódzkie Koło Młodych jest współorganizatorem Łódzkich Jesieni Poetyckich, dlaczego nie wie, że to właśnie członkowie tego Koła odnieśli szereg poważnych sukcesów w konkursach na poezję społecznie zaangażowaną, Królikowski — Łódzka Jesień, Gorzelski — Łódzka Jesień, „Czółenko", Jarmołowski — Łódzka Jesień, Mieczysław M. Szargan — dwukrotnie Hybrydy, Turniej Czerwonej Róży, Złota Lampka Górnicza, Łódzka Jesień. Wszystkie te wiersze czerpały przecież z życia, z doświadczeń wyniesionych z żywej współczesności. Frejdlicha to jednak guzik obchodzi, Frejdlich nawet wtedy gdy nie ma racji musi krytykować.

Sprawa druga. Na jakiej podstawie Frejdlich stwierdza, że — cytuję — „ogromny procent członków Koła Młodych, łącznie z jego przewodniczącym wystąpił na wspomnianym już sympozjonie (chodzi o I Sympozjon Polski Centralnej) pod barwami grupy XX". Znowu gruba, żeby delikatnie rzecz nazwać nieścisłość. Andrzej Biskupski, który rzeczywiście zasiadł za stołem prezydialnym tej ze wszech miar nie udanej imprezy, moim zdaniem społecznie szkodliwej, przewodniczącym Koła Młodych w tym czasie już nie był i ręczę, że starczyłoby mi palców u jednej ręki, żeby wymienić tych, którzy chcą postawić Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Koło Młodych to nie tylko tych paru żeby znowu delikatnie powiedzieć „giętkich", ale 21 młodych ludzi posiadających swoje zasady. Dlatego stwierdzam grubą nieścisłość, drugą w artykule Frejdlicha.

Jest w tym artykule jeszcze jeden passus z którym nie mogę się zgodzić, passus mówiący o opieszałości Wydawnictwa Łódzkiego. Wydaję w tym Wydawnictwie drugi tomik poetycki, tyle serdeczności i życzliwej uwagi nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać. Pewnie, że na książkę trzeba czasem długo czekać, ale przecież nie kto inny jak Konrad Frejdlich w odstępach najwyżej dwuletnich wydał swoje trzy książki właśnie w Wydawnictwie Łódzkim.

Chciałbym na koniec powiedzieć: więcej odpowiedzialności za słowo drukowane i prosić Szanownego Pana Redaktora o umieszczenie mojego głosu na sympatycznych łamach.

Z POWAŻANIEM

(—) MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

W SPRAWIE KONKURSU

Organizatorzy konkursu na powieść o walkach partyzanckich na terenie województwa łódzkiego informują, że na skutek licznych próśb ze strony osób zainteresowanych, ostateczny termin składania prac został przesunięty do dnia 30 czerwca 1966 r.

Przypominamy, że zgodnie z warunkami konkursu prace należy przesyłać do Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej — Łódź, ul. Ogrodowa 15.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Najgorsze są filmy nijakie. Grzeczne, poprawne, zrobione ze znajomością gustów publiczki, ugłaskane pod nią. A jest ich — niestety — tak wiele. Czasem aż ręce opadają — miernota, miernota, miernota... Zalew miałkości na ekranie. I o czym tu pisać? i co tu oglądać? Diabła wart ten cały film — myśli się wtedy w zniechęceniu. Na szczęście nie zawsze. Bo nagle pojawia się dzieło, które działa jak objawienie. Film, który każe wierzyć w sztukę ekranu i jej możliwości, który zaprzecza, że jest to tylko rozrywka dla podlotków i ćwierćinteligentów.

Kocham sztukę buntowniczą. Kocham film odważny, który nie licząc się ze względami komercjalnymi ma śmiałość podejmować tematy trudne i mówić o nich to z pasją namiętnego polityka, to ze spokojem i mądrością filozofa. I kocham filmy tworzone przez prawdziwych artystów, w których nie zawsze ważna jest treść — może być bzdurna i błaha jak w „Moderato cantabile" — które w formie swej są jednak tak piękne, że ogląda się je z zapartym tchem, że nazywa się je później arcydziełami.

Niedługo wejdzie na ekrany film, który jest rewelacją na miarę światową. Film, który podziałał na mnie jak przysłowiowy piorun z jasnego nieba, który jak batem chłoszcze nerwy widzów. To **„PIESKI ŚWIAT — MONDO CANE"** Gualtiero Jacopettiego. Tak ostrego oskarżenia rodzaju ludzkiego nie widziałam jeszcze na ekranie. To film, po którym człowiek wychodzi z kina niemal chory, po którym czuje się jak zbity pies. Kto ma słabe nerwy — niech lepiej podaruje go sobie, lub przynajmniej uodporni się jakoś na te dwie godziny. „Pieski świat" przedstawia sceny, jakie przywołać by mogła w najczarniejszych chwilach posępna wyobraźnia. Ich koszmar jest jednak tym większy, że są prawdziwe. „Mondo Cane" składa się z trzydziestu blisko epizodów krzyżowanych w Europie, Stanach Zjednoczonych, południowo-wschodniej Azji, na wyspach Pacyfiku, w Australii. Tworzą one mozaikę reportażową o współczesnym świecie, pokazują te jego zakamarki i właściwości, o których wolimy nie wiedzieć, nie pamiętać, aby nie spędzać sobie snu z oczu. To świat, w którym obok przerafinowanej aż do rozkładu cywilizacji kapitalistycznej, zachowały się resztki epoki człowieka jaskiniowego. Czyżby czas zapomniał o pewnych zakątkach Nowej Gwinei? Jak w zaraniu rodzaju homo sapiens ludzie żyją tam w jaskiniach, drewniane maczugi są ich bronią, łupany kamień narzędziem pracy. A przecież w tym samym czasie, nowojorska mieszkanka drapacza chmur oddaje na psim cmentarzu ostatnią przysługę swojemu czworonożnemu ulubieńcowi — trumienka, kwiaty, nagrobek.

Śmierć — podlegają jej ludzie, zwierzęta, przedmioty. Jakże różne miewa oblicza. Na Atolu Enitwok śmierć nie przychodzi od razu. Po próbach z bombą wodorową fauna uległa tu zwyrodnieniu: pewne gatunki ptaków schroniły się i żyją pod ziemią, niektóre ryby przystosowały się do wegetacji na drzewach, a żółwie morskie straciły zmysł orientacji i wyszedłszy na ląd, by złożyć tam jajka, nie potrafią już wrócić do morza. Oto jeden z nich. Ostatnim wysiłkiem wlecze się po piasku, wyciąga z trudem mała główkę na pomarszczonej szyi. Wreszcie ustaje. Zaczyna się agonia. I nagle żółwiowi wydaje się, że jest w wodzie. Zaczyna „pływać", jego łapy konwulsyjnie rozpychają piasek. Wstrząsający to obraz. Ten żółw zostanie tu pod słonecznym żarem jak niemy, lecz wymowny znak zapytania: co robicie ze światem? Czy nie widzicie, ku czemu zmierza nasza cywilizacja? No cóż — nasza cywilizacja potrafi sobie radzić ze śmiercią. Oto Singapoore: „dom śmierci", do którego rodziny przywożą umierających. Gdy ci dogorywają tu w samotności straszniejszej niż śmierć sama, rodziny biesiadują wesoło w podwórzu. Mają też swój „dom śmierci" wysłużone samochody. Los Angeles — olbrzymie cmentarzysko tych pojazdów. Wielka prasa ugniata samochody na nieduże sześciany. Pod jej działaniem żelazo gnie się, krzywi, niemal cierpi jak żywe stworzenie.

Cywilizacja... Jakże brudne, ohydne, wyzute z wszelkiej wrażliwości, kultury i moralności miewa czasem oblicze. Hamburg. Dzielnica rozrywkowa S. Pauli. Dzielnica pijaków, starych, zniszczonych, bez czelnych prostytutek. Kult życia mierzony ilością wypitych kufli piwa.

Jeść!! Centralne zagadnienie całego świata. Na Nowej Gwinei ciemna kobieta karmi piersią prosiaka. Zabito jej dziecko, żeby wykarmić mogła świnię. Co pięć lat góralskie to plemię urządza bowiem obrzędowe obżarstwo. Na oczach widza drewnianymi pałkami zabija się świnie. I je łapczywie z wnętrznościami, surowe prawie. Trzy dni i trzy noce obżarstwa. A potem — znowu pięć lat głodowania.

Jeść! Ale co? Jeśli jest się milionerem, potrawa musi być bardzo wyszukana. Oto wytworna restauracja. Oto eleganccy konsumenci. A na talerzach? Przypiekane mrówki i larwy.

Ale nie tylko jedzeniem człowiek żyje. I oto ciemnoskóre półnagie piękności polują zespołowo na mężczyznę. Nie trzeba go będzie rozbierać — nie ma prawie z czego. Rozhisteryzowane kinomanki mają daleko więcej zbiorowego trudu ze sławnym gwiazdorem filmowym. Ale na plażach polują prawie tak samo półnagie białe piękności.

Są też i wyższe idee. W Kalabrii we Włoszech mężczyźni rania żelaznymi kolcami swe nogi, by w Wielki Piątek krwawymi śladami znaczyć drogę do kościoła.

Przesyt cywilizacją, znudzenie. Tęsknota za „prymitywem". Tysiące turystów przybywa na Hawaje. Tandetne rozrywki za drogie pieniądze. Uprzemysłowiony wdzięk, uśmiech, kokieteria, taniec. Bezdenna głupota snobizmu. Lecz obok sztucznego zbliżenia współczesności i prymitywu jest jeszcze inne — prawdziwe i wstrząsające. Na Nowej Gwinei górskie plemiona oddają cześć boską samolotom. Dla tych górali świat kończy się za górami. Skoro samoloty przylatują zza gór, pochodzić muszą z raju. A w raju nie ma białych. Samoloty wysyłają więc zmarli przodkowie plemion. Źli biali chwytają je w olbrzymią pułapkę — lotnisko. Wybrańcy plemienia pala więc w nocy ognie, czekają przy modelu samolotu zrobionego z bambusa. Wierzą, że samoloty wreszcie trafią do nich. I to jest właśnie, jakże znamienny, finał filmu.

To dzieło mówi samo sobą. Nie potrzebuje komentarzy. Uprzedzam — są w nim sceny okrutne i drastyczne. Ten film — to jeden wielki wyrzut sumienia. A ponieważ — czy kto chce, czy nie — jest dokumentem, wstrząs, jaki wywołuje, jest ogromny. Nieważna forma. Nie o nią chodzi, toteż prawie się jej nie zauważa. Wielkość „Pieskiego świata" leży w jego problematyce. W niesłychanej odwadze i nonkonformizmie filmu. W buntowniczości i pesymizmie oskarżenia. Koło tego filmu nie sposób przejść obojętnie. Jacopetti mówił o swych przyszłych odbiorcach: „Pozostawiamy widzom niełatwy obowiązek wyciągnięcia wniosków, do jakich prowadzimy: to jest naprawdę pieski świat, choć tak dobrze w nim się czujemy..." Po filmie rodzi się gorzka refleksja: jakże sympatyczne były psy, które w nim występowały. O wiele bardziej niż człowiek. Jest więc jeszcze gorzej. Nie ubliżajmy psom. Ów świat, który przedstawia Jacopetti, to — niestety — świat ludzki.

MARIAREL

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

JUBILEUSZ MARIANA PIECHALA

W ubiegłą sobotę, 23 kwietnia br. odbył się jubileusz 40-lecia pracy literackiej zasłużonego POETY i PISARZA, MARIANA PIECHALA. W godzinach południowych przewodniczący Prezydium Rady Narodowej mgr Edward Kaźmierczak powitał Jubilata na spotkaniu z przedstawicielami środowisk twórczych, składając Mu serdeczne gratulacje i życząc dalszych pięknych osiągnięć twórczych. Na spotkanie przybył I sekretarz KŁ PZPR, Józef Spychalski wraz z członkami Egzekutywy, Komitet Wojewódzki PZPR reprezentował sekretarz Wiesław Bek.

Tego samego dnia wieczorem w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, przy szczelnie wypełnionej sali, odbyły się dalsze uroczystości jubileuszowe. Tym razem rolę gospodarza pełnił przewodniczący TPŁ — Eugeniusz Ajnenkiel, który wieczór zagaił i prowadził. Referat o twórczości Mariana Piechala wygłosił Stanisław Czernik, następnie zabierali głos prof. Stefania Skwarczyńska, przedstawiciel Zarządu Głównego ZLP — Jan Maria Gisges, kierownik Wydz. Kultury MRN — mgr Ryszard Stefańczyk, a delegacje młodzieży szkolnej złożyły Jubilatowi życzenia i wręczyły wiązanki kwiatów.

Wśród licznie nadesłanych depesz z życzeniami, znalazły się listy gratulacyjne od Marszałka Polski, Mariana Spychalskiego, z którym Jubilat uczył się w tym samym gimnazjum łódzkim oraz od ministra kultury i sztuki — Lucjana Motyki. Aktorzy Teatru im. Jaracza recytowali wiersze Mariana Piechala, które sala przyjęła z entuzjazmem.

Zarówno na spotkaniu w Prezydium Rady Narodowej jak i w KMPiK zabrał głos Jubilat, który mówiąc o czterdziestoleciu swojej pracy pisarskiej, wspomniał tych wszystkich, którzy razem z nim tworzyli w Łodzi ruch literacki i kulturalny. Przyłączając się do życzeń i gratulacji dla Mariana Piechala przypomnijmy, że „Odgłosy" w roku ubiegłym opublikowały obszerny artykuł o czterdziestoleciu Jego pracy pisarskiej, a niedawno recenzowaliśmy na tych łamach najnowszy tom Jego wierszy pt. „Punkt oparcia". Marian Piechal, mimo iż ma za sobą 60 lat życia i 40 lat twórczości, znajduje się w szczytowej fazie swej twórczości. Utwory, którymi obdarza swoich czytelników, dowodzą Jego ogromnej żywotności i energii pisarskiej. Redakcja „Odgłosów" życzy Marianowi Piechalowi długich lat zdrowia i pięknych osiągnięć twórczych.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

ŚMIERĆ DWÓCH WYBITNYCH PISARZY

O Zmarł wybitny pisarz angielski Evelyn Arthur Waugh. Urodził się on 28. X. 1903 roku w Londynie, w rodzinie krytyka literackiego i wydawcy. Studiował w Oxfordzie historię, a następnie uczęszczał do londyńskiej Akademii Sztuki.

Po ukończeniu studiów Evelyn Waugh zajmuje się dziennikarstwem, był reporterem pisma „Daily Express". Wkrótce zniechęca go utrzymywanie się wyłącznie z pióra i Waugh zostaje stolarzem, co jego zdaniem pozwoliłoby mu na zajmowanie się sprawami duchowymi i kształceniem wewnętrznym. W roku 1930 przechodzi na katolicyzm i dziś zaliczany jest obok Greene'a do najwybitniejszych angielskich pisarzy katolickich. Zajmowanie się stolarką nie trwało bowiem długo. Waugh pisze powieści. Już od 1930 r. staje się sławnym przez swój zgryźliwy sarkazm wymierzony przeciwko brytyjskiej arystokracji. Jego cała twórczość cechuje ostre widzenie, nieraz szydercze ujmowanie stosunków społecznych, wielka wnikliwość psychologiczna i cięty humor. W powieści „The Loved One" (Drogi nieobecny) szydzi z amerykańskiego przedsiębiorstwa pogrzebowego, zapewniającego za drogą opłatą, zwłokom ludzkim komfort i luksus. W powieści „Scoop" demaskuje okropne stosunki panujące wśród dziennikarzy prasy sensacyjnej. Absurd i nieludzkość wojny znajdują swój wyraz w takich jego powieściach jak trylogia: „Men at Arms", „Officers and Gentlemen", „Unconditional Surrender". Pisał też wspomnienia, z których ukazał się pierwszy tom.

Powieść „Drogi nieobecny" została przeniesiona na ekran przez Tony Richardsona.

W parę dni po śmierci pisarza angielskiego prasa podała wiadomość o śmierci jednego z wybitnych pisarzy francuskich, Duhamela.

Georges Duhamel urodził się 30. VI. 1884 r. Jego ojciec był lekarzem. Georges był siódmym spośród ośmiorga dzieci. Z braku środków finansowych Georges Duhamel nie bez trudności przebija się przez studia, ale w roku 1909 zdobywa dyplom doktora medycyny. Wiele podróżuje. Zwiedza Szwajcarię, Włochy, Austrię, później podróżuje po Afryce, odwiedza ZSRR i Amerykę. W roku 1906 jest współzałożycielem grupy literackiej, tzw. Opactwa Créteil. Debiutuje wierszami, następnie poświęca się twórczości dramatycznej. Potem, na podstawie swych doświadczeń wojennych (podczas pierwszej wojny światowej był wojskowym chirurgiem) pisze dwie powieści „Vie des martyrs" (Żywot męczenników) i „Civilisation" (Cywilizacja). Obie są protestem przeciwko okrucieństwu wojny. Za dzieła te otrzymuje nagrodę Goncourtów.

Duhamel w swej dalszej twórczości staje się gorliwym rzecznikiem braterstwa między ludźmi, walczy ze wszystkim co jest wymierzone przeciw człowiekowi i temu, co zagraża jego duchowemu i fizycznemu rozwojowi. Pisze bardzo dużo książek, m. in. dwa wielkie cykle powieściowe, które powstały w ciągu dwudziestu pięciu lat: „Vie et aventures de Salavin" (Życie Salavina) dzieło pięciotomowe i dziesięciotomowa powieść-rzekę „La chronique des Pasquier" (Kronika rodu Pasquier). Duhamel jest świetnym narratorem, pisał obrazowo i z humorem. Po wojnie napisał między innymi: „Cri des profondeurs" (Krzyk z głębokości), „Complexe de Théophile" (Kompleks Teofila) i pięciotomowe dzieło wspomnień „O sobie samym".

Duhamel był członkiem Akademii Francuskiej.

TANCERKA RZEŹBIARKĄ

O Carina Ari jedna z najsłynniejszych tancerek szwedzkich pierwszej połowy dwudziestego wieku zajmuje się obecnie rzeźbiarstwem. Ostatnio kończy pracę nad popiersiem Daga Hammarskjoelda. Dzieło to zamówione zostało przez komitet jego imienia.

DZIESIĘCIU SŁYNNYCH MALARZY STWORZY WSPÓLNY OBRAZ

O Towarzystwo Przyjaciół Dzieci we Francji otrzyma wkrótce obraz od dziesięciu słynnych malarzy. Malować będą wspólnie, z tym, że każdy z nich namaluje tylko jeden wybrany przez siebie fragment. Płótno ma mieć wymiary 160 cm na 140 cm. Temat jest dowolny, ustalony zaś będzie po wzajemnym porozumieniu się twórców. Pomysł ten artyści tacy jak Van Dongen, Carzou, Mac Avoy, Yves Brayer, Chagall przyjęli z prawdziwym entuzjazmem. Marc Chagall zastrzegł jednak sobie zarazem na wstępie, że chce malować środkowy fragment obrazu. Gdy dzieło będzie ukończone zostanie najpierw pokazane w Paryżu, a następnie będzie przewiezione statkiem do Nowego Jorku. Tam obraz będzie umieszczony w jednej z galerii, a następnie sprzedany. Ofiarodawcy spodziewają się, że obraz uzyska za oceanem bardzo wysoką cenę, gdyż Amerykanie lubią dobrze płacić za tego rodzaju oryginalne pomysły. Dochód z obrazu przekazany zostanie na cele Towarzystwa Przyjaciół Dzieci we Francji.

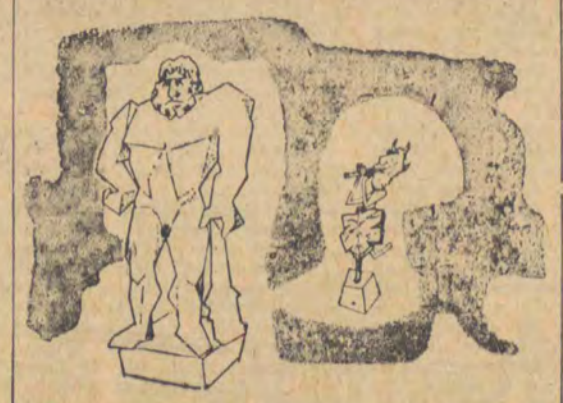

(„L'Humanite — Dimanche")

CHAGALL MALUJE OBRAZY DLA OPERY W NOWYM JORKU

O Scenę nowej opery w Nowym Jorku zdobić będą dwa obrazy ścienne Marca Chagalla. Każdy z obrazów będzie miał 100 metrów kwadratowych powierzchni. Tematem dzieł będą sceny z historii tańca i muzyki. Inauguracja opery odbędzie się we wrześniu.

GAUGUIN BEZ LEGENDY

O W serii wydawanych książek „l'Oeil du Temps" pod redakcją Jeana Baudry, pojawiła się książka pt. „Gauguin sans légendes". Jej autorem jest Charles Chassé. Zebrał on drobiazgowo wiele prac i faktów z życia wielkiego malarza jakim był Paul Gauguin (1848—1903).

Charles Chassé, historyk sztuki, specjalista w zakresie malarstwa i literatury tej epoki wyjaśnił swą książką wiele spraw z życia Gauguina, które dotąd albo były w ogóle nie znane, albo otaczała je legenda. I tak np. okazało się, że dla wielkiego malarza czas przebywania na Tahiti bynajmniej nie był taką sielanką jak się dotąd sądziło.

SPÓR O „ZAKONNICĘ"

O Ostatnio wiele się mówi i pisze we Francji o decyzji cenzury wstrzymującej wejście na ekrany filmu pt. „La religieuse", który zrealizował Jacques Rivette, według powieści Diderota pod tym samym tytułem.

Denis Diderot (1713—1784) wybitny filozof, pisarz i krytyk wydał powieść psychologiczno-obyczajową pt. „La religieuse" (Zakonnica). Treścią „Zakonnicy" są tragiczne losy dziewczyny oddanej wbrew jej woli do klasztoru. Akcja dzieje się w czasach współczesnych autorowi.

Film, jaki nakręcił Jacques Rivette jest podobno dość wiernym odtworzeniem treści i nastroju dzieła Diderota. Główna rola, zakonnicy z przymusu, Suzanne Simonin, gra znana aktorka, Anna Karina.

Cenzura motywowała swój wyrok tym, że film może „obrażać poważnie uczucia i przekonania znacznej części widzów". Przeciwko decyzji cenzury liczni przedstawiciele świata artystycznego i naukowego oraz najrozmaitszych ośrodków kulturalnych, podpisują manifest protestacyjny. M. in. syndykat francuskich autorów i kompozytorów muzycznych opublikował podobny protest, w którym „ponadto potwierdza sprzeciw twórców wobec wszelkiej cenzury".

Reżyser Philippe de Broca w związku z decyzją cenzury i jako protest przeciw niej, odesłał ministrowi André Malraux order „Chevalier des Arts et des Letters".

Równocześnie gwałtownie wzrosło zainteresowanie społeczeństwa francuskiego powieścią „Zakonnica". Wydawcy przygotowują jej masowe wydanie w formie kieszonkowej.

W Brukseli dyrekcja jednego z teatrów przerwała wystawianie sztuki Musseta, wprowadzając na scenę „Zakonnicę", będącą adaptacją powieści Diderota. Afisze reklamują, że teatr gra „La religieuse" zabronioną we Francji.

Georges de Beauregard producent filmu oblicza, że koszty realizacji „La religieuse" wyniosły od 150 do 200 milionów starych franków. Czyni on starania, aby film mógł być wyświetlony na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes. W zasadzie nie powinno być przeszkód, gdyż przepisy wymagają jedynie, aby producent filmu wysyłanego na festiwal posiadał pozwolenie na jego realizację, a takie pozwolenie film Rivette'a miał.

Ostatnio minister Malraux stwierdził, że nie widzi przeszkód, dla których „Zakonnica" nie mogłaby być pokazana w Cannes. Wysłanie jakiegoś filmu na festiwal uzależnione jest wyłącznie od jego wartości artystycznej.

Anna Karina w roli Suzanne Simonin w filmie pt. „Zakonnica".

POLONICA

POLACY W ZSRR

W cotygodniowym dodatku do „Izwiesti" „Niedieli" znajdujemy dość obszerny artykuł poświęcony naszej czołowej śpiewaczce estradowej Sławie Przybylskiej. Na wstępie autor artykułu A. Asarkan dość szczegółowo zajmuje się polską piosenką, wspominając z sympatią M. Fogga, K. Konarską i T. Woźniakowskiego, mających w ZSRR swych entuzjastów i wielbicieli. Tournée Przybylskiej jest jej trzecim spotkaniem z widzami Kraju Rad i od czasu jej słynnej piosenki „Pamiętasz, była jesień..." jest ona jedną z najbardziej ulubionych solistek, której płyty rozchodzą się w tysiącach sztuk. „Świat S. Przybylskiej — pisze Asarkan — to świat współczesnego prostego człowieka".

Natomiast w zapowiedziach wydawniczych nr 14 znajdujemy wzmiankę, że w drugim kwartale br. zostanie wydana książka Igora Neverly'ego pt. „Chłopiec z salskich stepów", przełożona na język rosyjski przez L. Godina.

(ei)

NUMER JUBILEUSZOWY

Wychodzące w Heidelbergu (NRF) czasopismo „Mickiewicz-Blätter" pod redakcją Hermanna Buddensiega, tłumacza „Pana Tadeusza" na język niemiecki — rozpoczyna jedenasty rok swego istnienia. Najnowszy numer „Mickiewicz-Blätter" zamykający dziesięcioletni okres działalności pisma, przynosi wiele interesujących materiałów, a więc wspomnienia Stefana Witwickiego i Seweryna Goszczyńskiego o Mickiewiczu, artykuł Stefana Żółkiewskiego o współczesnej literaturze polskiej, rozważania Hermanna Buddensiega o doświadczeniach tłumacza oraz jego przekład fragmentu „Dziadów", ponadto w numerze znajdują się przekłady wierszy Jana Kasprowicza i Leopolda Staffa, „Lokomotywa" Juliana Tuwima oraz esej Leszka Kołakowskiego pt. „Salomea czyli wszyscy ludzie są śmiertelni".

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Słowo giełda kojarzy się nam najbardziej ze zgiełkiem, hałaśliwą bieganiną kupców i agentów handlowych. Kupno sprzedaż papierów publicznych — przepływ fortun z rąk do rąk; sukcesy finansowe i bankructwa. Giełda, miejsce gdzie przywykliśmy oglądać ludzi trawionych gorączką złota, miejsce znane młodszym pokoleniom prawie wyłącznie z z literatury i filmu.

Giełdy naszego 20-lecia to na ogół miejsca transakcji międzybranżowych i reklamowania przez społeczny handel towarów obywatelom.

Lecz jest okazja obejrzenia „prawdziwej", rozgrzewającej wyobraźnię, rozpalającej pasje, trawiącej umysły giełdy... malarstwa współczesnego w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. H. Sienkiewicza.

WTOREK

„Galeria „Odnowa" ma zaszczyt zaprosić na otwarcie wystawy obrazów Krystyna Zielińskiego w piątek, 22. IV. 1966 r. o godz. 20 w pomieszczeniach Galerii Poznań, ul. Wielka 1—6".

Krystyn Zieliński jest łódzkim malarzem, pięknie projektował mi okładkę tomiku wierszy pt. „Wspomnienie drzewa". Niestety, w piątek muszę być..., ale o tym w piątek.

ŚRODA

Zapowiedź trzecia: książka znanego pisarza łódzkiego Wiesława Jażdżyńskiego pt. „Między prawdą a chlebem". WŁ, znajduje się na półkach księgarni łódzkich. Między prawdą a chlebem! Pasjonujące zagadnienie. Cóż może się znajdować między tymi podstawowymi elementami warunkującymi życie? Nikt nie ma wątpliwości, że Polak bez chleba nie byłby szczęśliwy. A bez prawdy?

Czytelnik sam może przekonać się, czym związał Jażdżyński pojęcie prawdy z chlebem naszym powszednim, jaką treścią i jaką fabułą.

CZWARTEK

Na czym polega rola pisarza w akcji upowszechniania kultury i oświaty?

Takie pytanie nasunęło mi się podczas spotkania aktywu KO z literatami sprawującymi patronaty nad placówkami związkowymi.

Jestem jak najbardziej za hasłem: uczyć bawiąc! Jestem jak najbardziej za nie nużącą formą prelekcji i spotkań autorskich, ale również za interesującą i poszerzającą świadomość problematyką.

Sądzę, że władze WKZZ wchodząc w porozumienie ze Związkiem Literatów nie inaczej wyobrażały sobie współpracę pisarzy ze związkowym aktywem kulturalnym, bowiem odmienny pogląd przeczyłby najskromniejszym wymogom upowszechniania kultury i oświaty wśród związkowców, byłby zatem lekkomyślnym trwonieniem energii i funduszów.

„Ubawów", pseudoartystycznych imprez, tandety piśmienniczej, a nawet literatury rozrywkowej nie musi się upowszechniać — są wystarczająco popularne.

Wielu bibliotekarzy, kierowników świetlic i klubów uważa, że człowiek fizycznej pracy szuka odprężenia jedynie w imprezach, które nie angażują go myślowo. Pogląd taki jest sprzeczny z podstawowymi założeniami psychologii odpoczynku. Człowiek po pracy fizycznej nie musi relaksować się bezmyślnie, jest zdolny do odbioru umiejętnie dobranego i starannie przygotowanego programu artystycznego o walorach kształcących.

Twierdzenie, że poważna (co nie znaczy pozbawiona polotu i dowcipu) prelekcja, czy spotkanie z autorem nie interesuje związkowców, świadczy o małej znajomości naturalnych głodów człowieka pracy, deprecjonuje go.

A może niektórzy „aktywiści" wolą unikać ambitniejszych i „zbytnio" absorbujących przedsięwzięć?

PIĄTEK

Od postawy działacza, od właściwego organizowania życia kulturalnego, propagowania wartościowego piśmiennictwa i dobrego przygotowania imprezy, najczęściej zależy jej atrakcyjność.

Paradoksem, delikatnie mówiąc, można nazwać kompletny brak zainteresowania niektórych bibliotekarzy, kierowników świetlic czy klubów twórczością „występującego" autora, (znam przypadki przekręcania nazwisk) a nawet „patrona" współpracującego od dłuższego czasu z placówką. Znam również przypadki krańcowo odmienne, krzepiące — piękne; pisałem i będę o nich pisał.

Sprzężenie: pisarz — związkowy aktywista KO winno przynieść (i już przynosi) dużo dobrego kulturze i oświacie. Nie ulega wątpliwości, że zarówno władzom WKZZ jak i literatom zależy na tej symbiozie. Jest nadzieja, że w tym sprzężeniu pierwsze impulsy i sygnały będą wychodzić od aktywistów związkowych i etatowych pracowników, bowiem literaci są tylko doradcami. Ci doradcy, odczuwając niekiedy rezerwę czy zgoła obojętność aktywistów, wstrzymują się z narzucaniem swoich usług. Wygodnictwo... Czyje?

Ważne jest, w świetle powyższego, żeby dobór patrona był uzasadniony poziomem placówki, jej możliwościami rozwojowymi, zainteresowaniami aktywu kulturalnego oraz rodzajem zainteresowań i gatunkiem twórczości patrona.

Moim zdaniem rola pisarza w akcji upowszechniania kultury i oświaty jest praktycznie uwarunkowana jego postawą społeczników ską. Uważam, że upowszechnianie kultury jest równoznaczne z jej podnoszeniem.

SOBOTA

Niech żyje Marian Piechal! Czcigodny Jubilat, zasłużony Poeta — czterdzieści lat pracy pisarskiej — a wiecznie młody, ba, młodszy od wielu z nas, „młodych".

Faustowską magię posiadł ten chłopięco-spontaniczny i wytrawnie mądry Poeta. Sprzeczność sama w sobie: urok żarliwości, romantyczna pasja i sceptycyzm doświadczenia. Mam nadzieję i wierzę Jubilatowi, że uroczyste fety i zasłużone uznanie nie osłabią żywiołowej pasji twórczej, a Jubilat nadal będzie nam młody.

NIEDZIELA

Znany krytyk Ryszard Matuszewski wygłosił odczyt w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Waryńskiego. Temat: Problem pokoleń a zagadnienie periodyzacji literatury współczesnej.

Jeszcze jestem pod wrażeniem wczorajszych uroczystości. Osoba Jubilata przeczy wszelkim podziałom na pokolenia w literaturze: dziś skłonny byłbym tak sądzić.

P. Żołoda

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Jednego dnia zeszli się na karty. Dwaj bracia Zet i wyrostek o królewskim nazwisku. Bracia grali va banque i ten trzeci, niech mu będzie Karol, przegrawszy ostatni grosz — rzucał kolejno na stół: krawat, sweter, koszulę, spodnie i zamszowe buty. Kiedy stał przed nimi nago, w kalesonkach tylko krótkich i brudnawych, z żałością w oczach, starszy z Zetów, Roman, zwrócił się do niego z propozycją:

— Oddamy ci łachy. Wszystkie! Jeśli pojedziesz z nami na skok...

W pięć minut potem — siedemnastoletni Karol, kierowca z zawodu, zaczął się ubierać.

2.

Na Bałutach nie wszystkie auta śpią w garażach. Na Bałutach wiele Syrenek, Warszaw i Wartburgów stoi nocą w przyblokowych zatokach albo wprost na ulicy.

30 stycznia 1965 roku jedno z takich aut zginęło. Zrozpaczony właściciel alarmował rankiem Komendę Ruchu Drogowego. Oficer dyżurny zapisał numer wozu i nazwisko właściciela. Przyrzekł:

— Zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy!

Tego samego ranka inspektorzy Wydziału Służby Kryminalnej KM dokonali wizji lokalnej w Domu Towarowym przy ulicy Głównej 62. Szyba wystawowa została wybita. Zarejestrowano kradzież płaszczy, skórzanych kurtek i kołnierzy futrzanych. Ogólna suma strat zamykała się cyfrą 50 tysięcy złotych. Włamywacze nie zostawili po sobie żadnych śladów. Nikt ich nie widział, nikt nie słyszał.

Te dwa przestępstwa, kradzież auta i włamanie — jedno dokonane na Bałutach, drugie w śródmieściu — nie wiązały się z sobą pozornie. Zresztą, auto w parę dni później zostało odnalezione w pobliżu miejsca, z którego zginęło. Uradowany właściciel potraktował sprawę jako kiepski żart.

3.

11 lutego 1965 roku, nocą, nastąpiło kolejne włamanie z cyklu „na szybę". Tym razem zrabowano kilkanaście kuponów materiału ubraniowego o wartości 70 tysięcy złotych. Ze sklepu zakładowego ZPW im. A. Struga — „Merino". Sprawcy zbiegli nie zostawiając na miejscu przestępstwa żadnych śladów. Inspektorzy z Wydziału Służby Kryminalnej powiązali jednak to włamanie z wcześniejszym o niespełna jedenaście dni napadem na Dom Towarowy przy ulicy Głównej — Ta sama technika, prosta, bezczelna, brawurowa, obliczona bardziej na czas niż na rozum, wiodąca do magazynów wprost z oświetlonych ulic poprzez wybitą kamieniami szybę; zadziwiająco śmiała. — wziąwszy pod uwagę ruchliwy punkt miasta — spóźnionych przechodniów, cierpiących na bezsenność sąsiadów, z których każdy mógł wszcząć alarm, oraz patrole piesze i zmotoryzowane MO krążące nieprzerwanie w tej dzielnicy.

— To mogli zrobić tylko ludzie młodzi, bardzo młodzi! — rzekł jeden z inspektorów.

Ponieważ inni pracownicy Wydziału Kryminalnego podzielali tę opinię, brawurowa technika powiedziała o sprawcach rabunku więcej niż ci ostatni mogli podejrzewać.

Fakt, że tego samego dnia zginął na Bałutach samochód osobowy marki Syrenka, zastanowił z kolei pracowników Komendy Ruchu Drogowego. Tę kradzież także powiązano z wcześniejszym o kilka dni „żartem". Na Bałutach powstał gang motorowy, którego łupem, jak wskazuje jedność czasu, miejsca i techniki, padły oba pojazdy. Ale dla jakich celów? Rzeczywiście dla żartu? Dla krótkich przejażdżek nocą? Komenda Ruchu postanowiła zbadać tę sprawę dokładnie..

Już pierwsze oględziny odnalezionej Syrenki przyniosły rewelację. — Z tyłu, między siedzeniem a oparciem, leżała rzecz na pozór niewinna: kolorowa metka z ceną materiału i nazwa firmy... Na metce pisało: Merino!

4.

Po tym odkryciu wszystko stało się jasne. Kradzieże aut i włamania do sklepów były dziełem jednej i tej samej bandy. Ktoś „pożyczał" samochody, aby przy ich pomocy uprowadzić zrabowany łup. Ktoś podjeżdżał pod sklep i głuszac silnikiem odgłos wybijanej szyby wdzierał się do wnętrza, rabował najdroższe towary i umykał pod osłoną nocy.

W sprawie opatrzonej kryptonimem: Merino — jedno było pewne: ten ktoś jest bardzo młody i mieszka na Bałutach. Ten ktoś popełnił błąd zostawiając metkę w Syrence i podstawiając „pożyczone" auta w miejsce gdzie poprzednio stały. Ten ktoś był wygodny, podjeżdżał pod swój własny dom...

5.

Dwaj młodzi, zdolni oficerowie z Komendy Miasta, którym powierzono tę sprawę, mieli już na swym koncie szereg sukcesów, między innymi — likwidację szajki walutowej i błyskotliwe rozszyfrowanie morderstwa z ulicy H.

Jeśli chodzi o „Merino" — rozpoczęli prace od dokładnego przewertowania akt zawierających opis wszystkich włamań „na szybę" dokonanych w Łodzi na przestrzeni ostatnich lat; szczególna uwagę zwrócili w tym wypadku na młody element przestępczy.

Potem — jeszcze raz przeprowadzili drobiazgowa analizę ostatnich rabunków z naukową skrupulatnością wynotowując powtarzające się cechy. Na mapie Bałut zarysowały się kontury kwadratu zamkniętego czterema ulicami. Tu należało szukać przestępców. — Tu krążyli wśród tysiąca nastolatków przeświadczeni o swym sprycie.

Oficerowie, przy udziale Komendy Dzielnicowej Bałuty, zaczęli sondować drogą wnikliwej obserwacji środowisko młodzieżowe w tym kwadracie. Kandydatów na włamywaczy było zrazu kilkudziesięciu. Kolejne jednak wywiady zawężały tę liczbę z dnia na dzień. Po ilości wydawanych pieniędzy, po nowych płaszczach, futrzanych kołnierzach i garniturkach z doskonałych materiałów — udało się wyodrębnić grupę chłopców w wieku od 16 do 19 lat powiązanych z sobą niemi tajemnych interesów. W kręgu podejrzeń już wówczas stanęli bracia Zet (Kazimierz i Roman), kierowca Karol, Ireneusz zwany Muszka, Bronek pseudo Burłak, Tadeusz M. i Jan Bażant.

6.

Tymczasem na Bałutach zapanował spokój. Mijał tydzień po tygodniu, a samochody stojące nocami na pustych ulicach przestały znikać. Nie zanotowano też na terenie miasta dalszych włamań techniką „kamień-szyba".

Śledztwo jednak było w pełnym toku. Dwaj oficerowie z Komendy Miasta zdążyli ustalić skład personalny przestępców w obu rabunkach. W jednym i w drugim wypadku brał udział kierowca Karol i młodszy z Zetów — Kazimierz. Trzeci natomiast uczestnik „skoku" pozostał na razie nieznany.

Głową gangu okazał się starszy Zet, Roman, nie parający się osobiście brudną robotą, wyznaczający jedynie swoim kolegom odpowiednie funkcje. Do niego należał podział łupu, wybór środka transportu oraz czasu i miejsca włamania.

Później, jak się okazało, w jego kompetencje wkroczyła częściowo Eleonora K., matka Karola, kobieta zorientowana doskonale w sferze problemów materiałowo-paserskich i wykorzystująca te orientację dla własnych celów (okradała zielonych pod tym względem wspólników na każdym kroku).

Oficerowie z Komendy Miasta odkryli także główna melinę włamywaczy, która, aczkolwiek była już pusta (towary zostały podzielone na części — częściowo sprzedane, częściowo noszone z szykiem w formie palt, garniturów i spódniczek) niemniej jednak mogła w każdej chwili zapełnić się łupem na nowo. Melina ta leżała w Nakielnicy koło Konstantynowa, gdzie przestępcy mieli swoich zaufanych krewnych.

Trzymając rękę na pulsie, należało czekać. Fałszywy pośpiech, niepotrzebny areszt lub zdradzenie przestępcom, że są śledzeni — to mogłoby odwrócić bieg sprawy i zerwać nawiązane wątki. W dalszym ciągu brakowało ostatecznego dowodu, którego dostarczyć mógł tylko kolejny skok...

7.

Przestępstwo, którego dokonano wiosną 1965 roku, tylko w części nosiło symptomy dwóch poprzednich włamań „na szybę". Tym razem zabrakło samochodu, był natomiast w akcji „pożyczony" motocykl, zabrakło także wszelkich śladów — napad obliczony został na gotówkę, łupem padło 4 tys. złotych i parę butelek śmietany wypitej z cała bezczelnością, jak wskazywały ślady, na miejscu. Oficerowie prowadzący śledztwo podejrzewali (nie bez racji), że i w tym wypadku mają do czynienia z bandą braci Zet. Ale na stanowczy krok, areszt i rewizję, było wciąż za wcześnie. No bo jak? Ofiarą włamywaczy padł przecież sklep PGR z warzywami. W takich sklepach nie ma ubrań, płaszczy i kuponów materiału, które zapełnić by mogły melinę w Nakielnicy, a tylko błyskawiczna wizyta MO w tej melinie, zakończona odkryciem łupu, mogłaby dostarczyć ostatecznego dowodu. Wizyta — albo złapanie bandytów na gorącym uczynku...

8.

I do tego właśnie doszło.

Ostatni, pasjonujący rozdział sprawy „Merino" poprzedzały dwa kolejne włamania „na szybę". Pierwsze miało miejsce dnia 26 maja (obrabowano wówczas magazyn MHD „Włókno" przy ulicy Władysława Bytomskiej), drugie natomiast (z braku dowodów nie wciągnięte na listę przestępstw dokonanych przez bandę Zetów) nastąpiło w lipcu i ofiarą jego padł sklep MHD „Włókno" przy ulicy Boya-Żeleńskiego 12.

Kiedy w sklepie przy ulicy Żeleńskiego trwał spowodowany włamaniem remanent...

9.

Człowiek zbudzony brzękiem wybitej szyby podniósł się z łóżka i podszedł do okna. Było to nocą, dokładnie: dnia 19 lipca o godzinie 3.00.

Człowiek ten mieszkał naprzeciw sklepu MHD „Włókno" usytuowanego przy ulicy Boya-Żeleńskiego 12, w którym w owym czasie trwał remanent.

Człowiek ten przetarł w zdumieniu oczy. Zobaczył ogromną dziurę w szybie i dwie smukłe sylwetki wdzierające się do sklepu. Trzecia sylwetka, również smukła i młodzieńcza, czekała obok motoru marki „Iż", który grał na pełnych obrotach rwąc na strzępy senną ciszę.

Człowiek oprzytomniał. Podszedł do telefonu i wykręcił numer alarmowy. Złożył krótki, precyzyjny meldunek:

— Boya-Żeleńskiego 12 po raz drugi. Trzech. Motocykl „Iż". Dwaj są w tej chwili w środku.

Ile to mogło trwać? Piętnaście sekund, trzydzieści?...

A jak długo może trwać zawiadomienie przez centralę patrolujących radiowozów MO, które krążą nieprzerwanie po mieście? Dziesięć sekund? Dwadzieścia?

— Orzeł, Kondor, Sputnik i Barbara! Boya-Żeleńskiego 12! Jedźcie tam! Włamanie! Odbiór...

Kondor i Barbara były najbliżej. Potem, od innej strony, podjechał Orzeł i zaraz za nim Sputnik. „Iż" obładowany łupem, umykał przed nimi w kierunku Parku Promienistych. Rozpoczął się morderczy pościg, w którym przestępcy byli bez szans.

Ostatnia scena rozegrała się w parku. Padły strzały, w górę. Na postrach. Ale strach panuje nad człowiekiem. Wielki strach zabija największa nawet brawurę. Kolejno podnosili ręce. Najprzód trzeci z braci Zet, Andrzej, niespełna szesnastoletni chłopak, który, aby dokonać włamania „zwolnił się" na jedna noc (ciekawe, ciekawe) z Domu Wychowawczego w Ignacewie. Potem Bronek pseudo Burłak. Na końcu średni „Zet", Kazimierz, jedyny spośród bandy, który brał udział we wszystkich trzech eskapadach.

10.

Oskarżonych było szesnastu. Siedmiu młodych chłopców z Bałut oraz ich krewni — paserzy, matki, siostry, wujkowie i starsi kuzyni.

Wyrokiem Sądu skazano:

■ Siedemnastoletniego Kazimierza Zet na 9 lat więzienia, 30 tys. złotych grzywny, utratę praw na 3 lata i przepadek majątku w całości,

■ Siedemnastoletniego kierowcę Karola (brał udział w dwu włamaniach) na 7 lat więzienia, 20 tys. złotych grzywny, utratę praw na 3 lata i przepadek majątku w całości,

■ Dziewiętnastoletniego Romana Zet (szefa gangu) na 5 lat więzienia, 10 tys. złotych grzywny, 2 lata utraty praw i przepadek majątku w całości,

■ Nieletnich: Andrzeja Zet (brał udział tylko w ostatnim włamaniu) i Jana Bażanta (jedno włamanie) na długoletni pobyt w zakładzie poprawczym,

■ Osiemnastoletniego Ireneusza zwanego Muszką (jedno włamanie) na 4 lata więzienia, 10 tys. złotych grzywny, 2 lata utraty praw; przepadek mienia w całości.

Poszli także za kratki starsi krewni przestępców. Paserzy z Nakielnicy, matka Karola (ta co oszukiwała przy podziale łupu braci Zet i własnego syna), i inni.

* * *

Proces ten zakończył się niedawno, w bieżącym roku. Do końca śledztwa oskarżeni zachowywali się bezczelnie, wyzywająco. Szef bandy, w czasie gdy większość jego kolegów znajdowała się w areszcie, dokonał jeszcze jednego przestępstwa, aby udowodnić ich niewinność, aby sprowadzić śledztwo na fałszywy tor.

W śledztwie nie brakowało też elementów tragicznych. Nieletni Jan Bażant, któremu w zasadzie groził tylko dom wychowawczy, zaprószył sobie oko kopiowym ołówkiem (pod namową rutynowanych kolegów — twierdzili, że po tym zabiegu zostanie wypuszczony na wolność) i, mimo usilnych starań lekarzy, oślepł częściowo.

Najbezczelniejszemu z bandy, siedemnastoletniemu Kazimierzowi Zet, już po wyroku urodziło się dwoje dzieci z dwu młodych mieszkanek Bałut (ludzie! — dawajcie datki na sieroty po bandycie sklepowym!).

Jeden z oficerów Komendy Miasta, który w czasie dochodzenia poznał od podszewki życie oskarżonych, ich warunki domowe, ich dzieciństwo i pierwsze naiwne przestępstwa poprzedzające opisane tu napady, powiedział:

— W tym procesie najwyższe wyroki zasądzono młodym. Ale winę za to ponoszą starzy — ich ojcowie, matki, opiekunowie, i nie tylko ci parający się paserstwem jak np. matka Karola, także i ci bierni, we własnym mniemaniu: praworządni, którzy widząc na swoim dziecku... no, chociażby nowy sweter, nie pytają się: skąd? a głaszcząc główkę szczeniaka mówiąc z zachwytem:

— Piękny masz sweter, synuś, przepiękny!

Lewym okiem

SUMMUM IUS...

„Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość — sprawiedliwość!" — wołał z gorącym patosem Tuwim w słynnym fragmencie „Kwiatów Polskich". Było to namiętne wołanie o przywrócenie sensu największym słowom, nadużytym poczwarnie, zmieszanym z mierzwą, zmielonym na sieczkę zalganych liczmanów.

Życie byłoby bajką, gdyby ów tuwimowski akt strzelisty zrealizował się na świecie w całej pełni. Cóż dopiero, gdyby — jakże pięknie się marzy — stopić dwa pojęcia w jedno, gdyby Prawo znaczyło Sprawiedliwość!

Zejdźmy jednak na ziemię. Pamiętamy wzburzenie opinii całego świata, gdy rząd Niemieckiej Republiki Federalnej ogłosił swój zamiar uznania zbrodni faszystowskich za przedawnione. Prawnicy niemieccy powoływali się przy tym na skrzętnie wyszukane i zestawione paragrafy, obłudnie manifestując swą zależność od świętej instytucji Prawa przez wielkie P. Paragrafy contra obrażone poczucie sprawiedliwości — parę miesięcy trwało to starcie, angażując tamy tysięcy pism we wszystkich językach. Wreszcie ustąpił minister, podjęto uchwałę, uspokojono podenerwowane sumienia. Zbrodnie nie ulegają przedawnieniu!

A oto czytamy w „Głosie" artykuł profesora Sawickiego i znów nie wiadomo, czy pokrętne paragrafy, które przecież miały znaczyć Prawo, nie zostały użyte dla zakpienia z opinii publicznej.

Może już wtedy, gdy toczyła się wielka dyskusja, chytre niemieckie kauzyperdy wyciągnęły przepis sprzed kilkudziesięciu lat i trzymając figę w kieszeni — żeby ją później pokazać — komentowały: zbrodnia zachodzi, gdy się zabija z niskich pobudek, a zwłaszcza dla zysku. Inaczej nie ma zbrodni, tylko zabójstwo. No, a powiedzieliśmy przecież, że to zbrodnie nie ulegają przedawnieniu. O zabójstwach nie było mowy....

Teraz każdy proces ponurych wielokrotnych morderców kończy się — i będzie kończył — stwierdzeniem, że nie działali oni w chęci zysku, czyli są może winni zabójstw, ale nie zbrodni; czyli czyny ich już się przedawniły. Kpiny w żywe oczy! Kpiny przy pomocy uczonych prawników! Kpiny z prawa, które znaczy — co znaczy?

Z satysfakcją czytałem parę dni temu wzmiankę o — nieważnym zresztą — procesie cywilnym, wytoczonym przez powoda, który o nic się nie upominał, o żadne odszkodowanie oprócz symbolicznej złotówki, a motywował swe działanie wyłącznie chęcią potwierdzenia naruszonej normy prawnej. Z samego poczucia obrażonej słuszności. Przedziwny człowiek! Maniak? Jak chcecie, ale z jego manii nam wszystkim przypada jakaś korzyść.

Czytałem też w „Kulturze" odpowiedź dyrekcji pewnych zakładów na artykuł, dotyczący odszkodowania za wypadek przy pracy w tychże zakładach. Mniejsza o meritum sprawy, ale z wywodów P. T. Dyrekcji wynika, że wypadek zdarzył się w lipcu 1963 roku, a w lutym 1966 roku (prawie trzy lata później!) przyznano wdowie odszkodowanie. W czwartym terminie rozprawy, czyli trzy razy nie mógł się zebrać komplet osób, niezbędnych dla rozpatrzenia „zaszłości"! A przecież — gdy chodzi na przykład o zatwierdzenie ceny na nowy wzór pantofla domowego — potrafi się zebrać czterdziestu członków komisji, wezwanych telefonicznie z całej Polski, wypiją kawę i cena jest. W pierwszym terminie...

Cóż z tego, że — na pewno — wszystko było zgodne z przepisami, kiedy coś nam się w środku niepokoi i buntuje....

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1151 IV.66. E-2